№ 42. Warszawa, dnia 8 (20) Października 1883 roku




# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. - Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.



## JAKIE ŻYCIE WIEDLI DAWNI WENECYANIE.

(Dokończenie.)

Nie tak gwarno bawiono się w kasynach prywatnych, a między innemi u prokuratorowej Katarzyny Tron, w San Juliano, najprawdziwszej Wenecyanki z ostatnich lat Wenecyi. Co poniedziałek, w salonie pozbawionym wszelkiego zbytku, w którym całą obsługę pełnił jeden gondolier wprowadzający gości i objaśniający świece, zgromadzali się senatorowie, literaci, książęta, poeci, awanturnicy, śpiewacy i tancerki. Rozmawiano, gawędzono, zalecano się do kobiet i raczono kawą. W roku 1782 powstało także kasyno dla służących, ale rząd zamknął je natychmiast. Lud pragnął także mieć swoje miejsca zabawy, aby wzorem szlachty i zgodnie z duchem wieku marnować czas i pieniądze.

Z nadejściem wiosny zmieniały się zabawy; gra zwana *calcio* (uderzenie nogą), strzelanie do celu i różne gry i zabawy zajmowały patrycyuszów, aż do czasu uroczystości *Sensa*. Od poniedziałku Wielkanocnego do końca września, w niedziele i w święta miało miejsce *tresco* to jest ogólna promenada w gondolach po Wielkim kanale przed zachodem słońca. Odpływano naprzeciw kościoła św. Hieronima i do czterystu gondoli wyścigało się kto pierwszy dopłynie do mostu krzyża; w nocy następowały serenady pod balkonami pięknych pań, które niekiedy raczyły ukazywać się na nich.

Z początkiem jesieni wyjeżdżano na *villegiaturę*, tam tańczono, obiadowano pod gołem niebem, nie zapominając o zbytku. Prześlicznie urządzone parki, nader starannie były utrzymane, wszędzie podziwiać można było gaje, altanki, labirynty, posągi marmurowe, klomby gustownie narysowane i oddzielne przestrzenie w których mieściły się najrzadsze zwierzęta. Pałace wiejskie były równie bogato urządzone i umeblowane jak w mieście. Patrycyusze przenosili na wieś wszelkie swoje nawyknienia, służbę w bogatej liberyi, złocone powozy, uczty, koncerta, wieczory. Z rana podawano niezbędną czekoladę, poczem przechadzano się po ogrodzie, następnie grano w karty, aż do wykwintnego śniadania. Przyjęto kuchnię francuzką, potrawy przesycane były przyprawami, z wielką krzywdą żołądków.

Nader często jeden bankiet odbywał się aż w trzech oddzielnych salonach, w jednym podawano zupy i wołowinę, w drugim potrawy i pieczyste, w trzecim przystawki i wety. Po obiedzie kawa i likiery, poczem patrycyusze przyjmowali wizyty w ogrodzie, w kiosku którego okna zdobiły kolorowe szyby. Nad wieczorem udawano się na przechadzkę, z której wróciwszy zasiadano do gry, płatano sobie wzajemnie różne zabawne figle, bawiono się muzyką i tańcem.

Podajemy tu współczesny opis życia, jakie prowadzono w willi Albergati w r. 1788: nigdy tu ani na jotę nie odstępowano w niczem od raz ułożonego planu.

O samej dziewiątej rano, odgłos dzwonka wzywał do opuszczenia łóżka; wyznaczone były dwa oddzielne pokoje w których oczekująca służba czesała i goliła gości margrabiego.

Kto wszedł najpierwszy, najpierw zostawał obsłużony; pod surową karą niewolno było nawet w tak drobnej rzeczy przekroczyć przepisanego porządku. Ztąd przechodzono do bufetu, w którym kredencerz cały dzień był obecny. Po śniadaniu, gdy wybiła dziesiąta, inny dzwon zwiastował, że margrabia wszedł do *sali kawy* czyli konserwacyjnej, gdzie wszyscy szli go pozdrowić i zasiadano znowu do wspólnego śniadania. O jedenastej dzwonek zwoływał na Mszę i wszyscy towarzyszyli margrabiemu do kaplicy. Gdy z niej wychodził, liczni wieśniacy i wieśniaczki zbliżali się ofiarując mu bukiety, w zamian których rozdawał im podarunki. Wracano do sali konwersacyjnej, tu jedni grali, drudzy zabawiali się grą bilardową lub przechodzili do przyległych gabinetów, poważniejszym oddając się zajęciom. O godzinie drugiej inny znów dzwon zawiadamiał, że kuchmistrz odstawił zupę od ognia, a niezadługo dzwoniono inaczej, zapraszając do stołu. Obiady wykwintne; wszelkie poważne rozprawy i rozmowy surowo podczas nich były wzbronione. Po obiedzie każdy mógł robić co mu się podobało, aż do odezwania się dzwonka zapraszającego na przechadzkę, której celem było przygotowanie *polenty* pod gołem niebem. Teraz każdy sam sobie był kucharzem. Powróciwszy wieczorem, zasiadano do gry trwającej do drugiej w nocy. W wielu domach wiejskich nieprzerwanie zastawiane stoły oczekiwały tłumnie napływających gości. Rozmowa nie ustawała we dnie i w nocy, w jednym salonie można było cały dzień słuchać muzyki, w innym nieustannie grano w karty, w trzecim bufet zastawiony był całe dnie i noce, a często jeszcze w tych tak gościnnych domach można było znaleźć dobrze obsadzone i zaopatrzone we wszystko teatra.

Takie życie aż nadto dostatecznie tłomaczy ruinę i upadek Wenecyi, przyznać jednak trzeba, że w drugiej połowie XVIII wieku, zaczynały ukazywać się niekiedy objawy budzenia się do życia. Doża Alviro Mocenigo (1762 r.) próbował zaprowadzić energiczne reformy, alę pusty skarb nie dozwalał przedsięwziąć skutecznych środków. Mo-

da przeniosła do Wenecyi nowe panujące wówczas we Francyi pojęcia, które jako nie dające się zastosować do tak starego gmachu, podkopały go do gruntu, niwecząc jedność zarządu, która jedynie mogła nadać mu jakiś pozór siły. Młodzież przyswajała sobie z zapałem owe szlachetne złudzenia, ale były to tylko przelotne zachciewki, płochość i lekkomyślność niebawem brały górę.

Z natury Wenecyanie byli łagodnego usposobienia, w tem mieście kanałów i wązkich, ciemnych uliczek tak sprzyjających zabójstwom, wydarzały się one przecież nadzwyczaj rzadko. Słynne szpiegowanie, więzienia i sądy, nie zakłócały bynajmniej ogólnej wesołości.

W wieku XVIII już Wenecya większej używała wolności niż inne miasta półwyspu, od dawna przestano się posługiwać owemi strasznemi studniami i więzieniem z ołowianym dachem, a co do przerażającej paszczy lwiej, brano już tylko pod rozwagę jedynie denuncyacye podpisywane i poparte przez dwóch przynajmniej świadków. Od szpiegów wymagano dostatecznych dowodów. Wypadki i wstrząśnienia mające zajść w końcu XVIII-go wieku, miały zniweczyć najlepsze dążenia rządu—Wenecya nie była gorszą, ale też i nie lepszą od innych miast. Pewne przysłowia ludowe maluje dość wiernie jej moralne stanowisko w tej epoce tak ważnej, wymagającej zahartowanych charakterów i niezachwianej energii.

Z początku Rewolucya francuzka niewielkie wrażenie wywarła w Wenecyi — obudziła tylko ciekawość. Nie wierzono, aby mogła przekroczyć granice: do Wenecyi tak było daleko, lud był w niej spokojny i szczęśliwy — a zresztą przecież była to rzeczpospolita, której broniło morze, potężna flota i groźny arsenał. Daremnie kilkunastu senatorów przekładało potrzebę przedsięwzięcia środków przezorności, utworzenie wojska — wyśmiano ich i karnawał był jeszcze huczniejszy, szaleńszy niż zwykle. Niepowstrzymany uragan rewolucyjny doleciał do Wenecyi w chwili, gdy najmniej go się spodziewano, jakby dla wykazania prawdy odwiecznej przepowiedni: „że Najjaśniejsza Rzeczpospolita zakończy swe istnienie w dniu, gdy dożą jej będzie Fryjulczyk — otóż obrany dożą Ludwik Manin, był rodem z Fryjulu. Za zbliżeniem się wojsk francuzkich, Pesaro i Gminmani'owie doradzali opór, Ludwik Manin umiał tylko płakać i załamywać ręce.

Dnia 12 maja 1797 roku, zebrało się tylko 547 członków Wielkiej Rady, kiedy potrzeba było 600 aby obrady były prawomocne — z tych 547 tylko 30 odważyło się odpowiedzieć przecząco na propozycyę Bonapartego domagającą się zmiany rządu. Rzeczpospolita runęła, stronnicy przewrotu ogłosili upadek dawnych swobód, obalili skrzydlatego lwa, spalili na publicznym placu złote księgi i insygnia książęce, a rozhukane bachantki tańczyły karmaniolę około drzew wolności.

*J. B.*

## W ALBUMIE JADWIGI M.

Pusto jeszcze... Ile tu wspomnień, kwiatów będzie,
Ile westchnień żałosnych, niespełnionych marzeń...
O szczęśliwcze! ty będziesz tutaj pierwszym w rzędzie,
A wiersz twój pierwszym w pośród rymowanych [wrażeń.

Do dzieła więc! Błękitów zapożyczymy z nieba,
Srebra od strug szumiących, złota od dojrzałych
Pól, nazbierajmy kwiatów barwnych, ile trzeba,
I przepaszmy to wszystko wstęgą uczuć stałych:

Przyjaźni, szczerych życzeń, szacunku... i innych.
Pyszny bukiet! Niestety, nie ma tu nic mego,
Wszystko wzięte z natury, oprócz tych niewinnych
Uczuć — należy jeszcze coś dodać do niego.

* * *

Hej życie się toczy, jak fala burzliwa,
Łzy, smutki, radości za sobą porywa.

Dziś młodość pulsuje, wre — minie lat kilka
I starość! Wiek marzeń zbiegł jak jedna chwilka.

A starość tak zimna, posępna, grobowa —
Bezsilnie na piersi spada siwa głowa.

I z pod oka łza spływa... O gdzie ty młodości?
O gdzieś ty, gdzie wieku wiary i miłości?

I drżącą już dłonią przerzucam stronice —
Rój wspomnień się ciśnie, zapał krasi lice.

Cóż to? jam znów młody?... O siło pamiątek!
Ty ducha ożywiasz, ty w najskrytszy kątek

Serc ludzkich przenikasz tak jasno, słonecznie,
Że budzisz je ze snu i każesz żyć wiecznie!

* * *

Jeżeli wiersz mój kiedyś spełni to zadanie,
Jeśli miłe wspomnienia z lat młodych obudzi,
Jeśli poruszy serce, gdy już bić przestanie,
Dosyć dla mnie! Zostanę najszczęśliwszym z ludzi.

*Miriam.*

# MAGDALENA

## POWIEŚĆ

### Pani CARO.

Przełożona z francuzkiego na język polski

przez

P. LUDWIKĘ ROUHER.

(Dalszy ciąg.)

### II.

Pewnego wieczoru byłyśmy z Ludwiką w naszym apartamencie zajęte ubraniem, albowiem miałyśmy iść na operę włoską, przyczem rozmawiając żywo, zapomniałyśmy o godzinie i zmieszałyśmy się bardzo, kiedy powiedziano nam, że wuj czeka na nas. Pobiegłam szybko do mego pokoju i wkrótce byłam gotową. Ludwika nie pospieszyła się tak, widocznie więcej była przejęta chęcią podobania się. Chciałam jej pomódz ale odmówiła.

— Przyszlij mi Justynę — rzekła — tylko prędko i idź zabawić tatusia i Roberta, aby się niebardzo niecierpliwili.

Schodziłam, nucąc pół głosem i zawiadomiwszy służącę, że Ludwika czeka na nią, przeszłam szybko pierwszy salon i weszłam do buduaru. Zdziwiłam się nieznalazłszy światła. Myślałam, że mój wuj i Robert zostali w oranżeryi paląc cygara: wszedłszy więc pociemku oparłam się na kominku i wyciągnęłam nogi ku rozsypanym głowniom. Byłam tam pewną chwilkę, kiedy naraz usłyszałam lekki szmer i drgnęłam, widząc obok mnie postać podnoszącą się w ciemności, a głos tak cichy, że zaledwie mogłam go poznać, wyszeptał te słowa:

— Magdaleno, kochana Magdaleno, trzeba koniecznie abym rozmówił się z tobą póki czas jeszcze, a może i tak już opóźniłem się zanadto.

— Mój Boże, to ty, Robercie — zawołałam po chwilowem zdumieniu — prawdziwie przestraszyłeś mnie. Co robisz tu w ciemnościach jak spiskowiec?

— Myślałem o tobie — rzekł poważnie — i doprawdy wierzę, że Bóg sam przyprowadził cię tutaj. Widząc cię idącą ku mnie, jak gdybyś odpowiedziała na moje tajemne życzenie, poznając ruchy i powolny twój chód i wielkie te oczy, które dla mnie świecą nawet w ciemności, zrozumiałem, że trzeba przemówić, aby przerwać straszną niepewność, która mnie dręczy, a jednak widzisz jak drżę... Wielki Boże! czyż nie domyśliłaś się niczego? Jeżeli przeczułaś moją tajemnicę, przez litość powiedz, czy nie zrozumiałaś, czyż nie wyczytałaś w moich oczach całego uczucia dla ciebie.

Byłam zdumiona, nie śmiejąc zrozumieć.

— Co mówisz — wyjąkałam przerażona.—Czy nie wiesz, że Ludwika cię kocha? Ależ to szaleństwo!

— Może być — wymówił łagodnie — ale czyż nie ulitujesz się nad mojem szaleństwem. Gdybyś wiedziała co wycierpiałem czując, jak miłość ta urodziła się i wzrastała w mojem sercu, pomimo mej woli.

— Robercie! — rzekłam surowo, starając się wzmocnić mój głos i opanować przyspieszone bicie serca — Robercie ani jednego słowa więcej, to dla mnie zniewaga, jak śmiesz do mnie mówić o miłości?

— Przebacz — szepnął — jestem biedny waryat, ale waryat ten szanuje i kocha cię namiętnie. Posłuchaj mnie, nie odwracaj się, czyż mogę oddać Ludwice serce, które całkowicie do ciebie należy? Czy byłoby to uczciwe, czy to jest możliwem? Nie wiem nawet czy ona mnie kocha prawdziwie, jest tak młoda, w jej wieku czy można rozumieć co to jest miłość? Osądź sama, Magdaleno, jeszcze jestem wolny i kocham cię szalenie.

— Dosyć — zawołałam odpychając go, bo leżał u nóg moich — nie chcę słuchać cię, wszystko to jest zdradą względem mojej siostry a dla mnie, obelgą. — Poruszyłam się aby wyjść.

— Nie chcesz mnie słuchać — zawołał gwałtownie, chwytając obydwie moje ręce, które ścisnął namiętnie —jesteś okrutną Magdaleno, ale wiedz, że moja miłość nie ulegnie zmianie, będę cię kochać pomimo twej woli i zmuszę cię do wzajemności. Będziesz szydzić ze mnie wiem o tem, bo nie rozumiesz potęgi namiętności.

Sądzisz że podobny węzeł możesz nawiązać i zerwać z uśmiechem pogardliwej litości? Sądzisz, że można powiedzieć człowiekowi kochaj tu, lub kochaj tam? Miłość nie wybiera Magdaleno, spada na nas i zmuszeni jesteśmy zostać pod jej

wpływem. Nie śmiej się, nie gardź mną, bo wywołasz straszne następstwa.

Kiedy mówił to, uczułam się zachwianą i na wpół zwyciężoną. Gorące te słowa, zapał dotąd dla mnie nieznany, obudziły tajemne współczucie w słabem mojem sercu, ale wielkim wysiłkiem woli zwyciężyłam się i przybierając zimną i dumną minę wyrwałam moje ręce, które w swoich jeszcze trzymał. W tej chwili, promień światła wślizgający się pomiędzy dwie portyery i lekki szmer sukni w przyległym salonie, oznajmiły nam zbliżenie się Ludwiki.

— Magdaleno — mówił Robert spiesznie — jeszcze jedno słowo. Czy obrażałaby cię moja miłość, gdyby Ludwika zezwoliła na nią? Pozwól mi...

— Milcz na Boga! — zawołałam przerażona.— Portyera podniosła się i ujrzeliśmy piękną uśmiechającą się twarzyczkę Ludwiki.

— Jakto! jesteście oboje w ciemności? — zapytała naiwnie nie uważając naszego zmieszania. — Ojciec czeka — zawołała — idźmy, spieszmy się. Jestem pewna, że drzemaliście oboje — dodała wesoło, biorąc ramię Roberta i prowadząc go z sobą.

Szłam za niemi powoli, korzystając z tej chwili samotności, aby ukryć moje wzruszenie. Wieczór ten w teatrze był dla mnie jednym z najprzykrzejszych.

Śliczna muzyka „Cyrulika Sewilskiego", szalona jej wesołość irytowały mnie nad wszelki wyraz. Spokojność Ludwiki doprowadzała mnie do rozpaczy. Robert nie widział nikogo oprócz mnie, zajmując się mną wyłącznie. Obawiałam się, aby wuj i Ludwika sama nie spostrzegli nakoniec tego dziwactwa. Czasem zdawało mi się, że mój wuj był niezwyczajnie smutny, sądziłam, że już miał podejrzenie co do naszej tajemnicy, najprostsze jego wyrazy uważałam za wymówki.

Patrzyłam na Ludwikę i widząc ją uśmiechającą się, mimowolnie rozczulenie ogarniało mnie, a w pośród tych rozmaitych wrażeń, czułam w głębi mego serca, pewną oburzającą mnie rozkosz.

Cierpiałam a jednak byłam szczęśliwą, niewypowiedziana radość napełniła moją duszę, chociaż coś dokuczliwego i bolesnego mieszało się z mojem szczęściem. Nakoniec, skończyła się sztuka, potrzebowałam cichości, milczenia, samotności nadewszystko. Zaledwie wróciłam do domu, powiedziałam, że czuje się zmęczoną i pobiegłam do mego pokoju, gdzie zamknęłam się, a potem padłam na kolana i kryjąc głowę w dłoniach, starałam się zebrać myśli. Niestety nie prosiłam Boskiej pomocy. Dumne moje serce nie żądało wsparcia. Ciężar strasznych wzruszeń przygniatał mnie, czułam potrzebę wezwać Boga, jako świadka mojego szczęścia, którego nie mogłam powierzyć nikomu. Nie wiem czy kiedykolwiek miłość w tak straszny objawiła się sposób. Myśl i serce moje porwane były wirem szalonej radości i zachwycających marzeń. Kochać! być kochaną, słowa te otwierały przede mną niezmierny i nieznany horyzont, ku któremu dusza moja wyrywała się jakby na skrzydłach, a usiłowałam naderemnie gonić ją lub zatrzymywać.

Nagle zawstydziłam się mojej przeszłości, myślałam z pogardą o tych latach, które upłynęły tak spokojnie w ciszy i milczeniu serca. Zdawało mi się, że dopiero w tej chwili, zrozumiałam wartość życia i że powinność, honor, szczęście, wszystko to zamykało się w potędze miłości. Cała noc upłynęła w ten sposób.

Dopiero nad ranem usnęłam. Co się działo ze mną w krótkim czasie tego gorączkowego snu, jaka tajemna przemiana spełniła się bez mojej wiedzy...? Nie wiem. Obudziwszy się, wrażenia moje były zupełnie inne, zapał dnia poprzedniego zniknął a w jego miejscu pozostało tylko znużenie i upokorzenie.

Powstałam i otworzyłam okno, powietrze mroźne i deszcz lodowaty ochłodziły rozgorączkowaną głowę. Zamknęłam zatem szybko i drżąc rzuciłam się na łóżko. Zmrużyłam oczy ale nie mogłam usnąć, tysiące myśli nieokreślonych, tłoczyło się w mojej głowie a nie byłam w stanie wyrwać się z tego gorączkowego natężenia umysłu. Pomiędzy myślami, które w ciągłej były sprzeczności, najprzykrzejszą, najboleśniejszą było wspomnienie o Ludwice. Nadaremnie starałam się je oddalić, wracało zawsze i rumieniłam się myśląc, że chciałam przywłaszczyć sobie szczęście mojej kochanej kuzynki!

Wyrzucałam sobie gorzko zbrodniczą nadzieję, której moja dusza poddała się, a jednak nie miałam dosyć odwagi zapanować nad własnem sercem bo poznałam nakoniec, że kochałam i kochałam po raz pierwszy, z całą siłą i potęgą.

Przypomniałam sobie jedna po drugiej wszystkie godziny, które upłynęły od przyjazdu Roberta. W myśli mojej zastanawiałam się i badałam serce Ludwiki, szukając oznak, chcąc przekonać się, że nie kochała tak silnie jak ja. Powtarzałam sobie te słowa Roberta, które mnie zachęcały nieco: „ona tak młoda, czyż można kochać w jej wieku?" Ale nie udało mi się nabrać otuchy, zanadto dobrze znałam serdeczną naturę Ludwiki, głęboką jej czułość, która często, przy najmniejszem zmartwieniu, przerażała nas, a zważywszy to wszystko, zaczęłam gorzko i boleśnie płakać.

W tej chwili uczułam lekki oddech na czole, otworzyłam oczy i zobaczyłam Ludwikę nachyloną ku mnie.

— Co ci jest, płaczesz? — rzekła z serdecznym niepokojem. — Czy masz jakie zmartwienie, czyś słaba?

— Nie — odpowiedziałam z uśmiechem — myślałam o tobie moja Ludwiko. Czyż nie wiesz, że wkrótce rozłączymy się? Bez wątpienia, nowe uczucie zmieni nasze życie i rozdzieli serca...

— Milcz, niedobra — zawołała żywo Ludwika — czyż mogłabym żyć bez ciebie, bez twojego przywiązania, nie mogąc dzielić z tobą wszystkich moich wrażeń? Widzisz, niewdzięczna jaką chwilę wybierasz, aby mówić mi takie przykre rzeczy. Oto przynoszę ci mój podarunek weselny — i mówiąc to, włożyła mi w ręce pęk papierów, który wzięłam machinalnie.

Każde jej słowo, jej wesołość, dowody przyjaźni, któremi mnie darzyła, wszystko to dręczyło mnie. Jeżeli zabiorę jej szczęście, pytałam siebie, któż ją pocieszy? Ludwika nie domyślając się goryczy moich myśli wzięła mnie za rękę.

— Słuchaj — mówiła z zachwycającym uśmiechem. — Czy przypominasz sobie malutki domek całkowicie okryty winem i zacieniony kasztanami, który podziwiałaś z takim zapałem w czasie naszego pobytu w Vannes?

— Zapewne — odpowiedziałam — zdaje mi się że widzę go w tej chwili, również jak i dolinę, która rozciąga się w około i mały strumyk, który bieży w pośród ścieżki. Tak, dobrze przypominam sobie i cisza tego skronnego mieszkania przypada do mego usposobienia.

— A więc — zawołała Ludwika, klaskając rękami — otóż ulubiony twój domek przynoszę ci wraz z małym ogrodem, który cię zachwycał. Wszystko to jest w tym zwoju papierów. Ojciec udał się do właściciela, który zdecydował się sprzedać go i dobrze zrobił. Melancholiczne to gniazdko zdaje się być stworzonem dla tak romansowej główki jak twoja, jakaż to będzie radość, nie prawdaż, kiedy przyjadę wraz z Robertem odwiedzić cię w twoich dobrach, a ty będziesz nas przyjmować z tym królewskim wdziękiem, który cię odznacza. Ah! chciałabym już być po ślubie! I wiesz — dodała tonem tajemniczym — sądzę, że nie będę długo na to czekać. Wczoraj, powiedział mi ojciec, że pójdę za mąż tego lata.

Gorączkowo ścisnęłam papiery rozsypane na łóżku.

— O wszystko jest w porządku — dodała Ludwika, sądząc, że chciałam je czytać. — Oto dokumenta twojej własności! Ależ! pocałuj mnie Magdaleno! powiedz mi, że jesteś kontenta, że mnie kochasz. Ja kocham cię tak serdecznie, życzę ci żebyś była tak szczęśliwą, tak szczęśliwą zawsze jak ja moja najdroższa jestem nią w tej chwili.

Ściskałam ją płacząc, ale tym razem nie zaniepokoiły ją moje łzy, sądziła, że ich przyczyną było radosne wzruszenie.

— Ludwiko — rzekłam nagle, patrząc w nią bacznie, jakbym chciała czytać w jej duszy. — Jestem pod wpływem dziwnego urojenia, które mnie dręczy, potrzebuję twojej pomocy, aby je usunąć. Idzie tu o moje i twoje szczęście, nie odpowiadaj mi zatem bez rozwagi.

— Przestraszyłaś mnie — zawołała unikając mojego spojrzenia — ale zatrzymałam ją silnie.

— Ludwiko — rzekłam seryo — czy jesteś pewną, że kochasz Roberta?

Stanęła jak odurzona, starając się zrozumieć powód moich pytań.

— Dlaczego wątpisz o tem? Czyż nie wiesz równie dobrze jak ja sama, że kocham go całem sercem. Czy nie powiedziałam ci już tego po tysiąc razy? Co znaczy to zapytanie i twoja uroczysta mina?

Mówiąc to wlepiła we mnie swoje wielkie zaniepokojone oczy.

— Co się stało? — powiedz. — Czy Robert chory, czy wiesz coś, czy sądzisz, że on mnie nie kocha?

Głos jej był wzruszony, zdawała się czekać wyroku życia lub śmierci.

— A gdyby, rzeczywiście Robert kochał inną— rzekłam powoli.

Ludwika krzyknęła boleśnie, zadrżała i zrobiła się bladą jak trup.

— Lepiej umrzeć — wyjąkała głuchym głosem z wyrazem, który złamał moje serce. — O Magdaleno!

Złożyła ręce i nie będąc w stanie dodać słowa więcej, patrzyła na mnie błagającemi oczyma.

Nie mogłam oprzeć się temu spojrzeniu.

— Nie lękaj się — rzekłam, przyciągając ją do mojej piersi — widzę, że go kochasz. Przebacz mi zatem, że ośmieliłam się wątpić i przestraszyłam cię. Nie dręcz się moja droga Ludwiko, szczęście twoje nie podlega żadnej wątpliwości.

Pocałowałam ją po kilka razy i uspokoiłam łatwo.

Właściwa młodemu wiekowi wiara, zastąpiła szybko chwilowe zwątpienie, które wzbudziłam.

Wkrótce Ludwika oddaliła się pocieszona i wesoła.

Zostawszy samą, zrozumiałam cały ogrom mojego nieszczęścia. Wszystko zawdzięczałam mojemu wujowi i Ludwice, czyż mogłam zatem wydrzéć mojej siostrze człowieka, którego kochała? Bo ona kocha go, myślałam, muszę oddać sobie sprawiedliwość, że nie cofnęłam się przed straszną ofiarą i skoro tylko zrozumiałam swój obowiązek, postanowiłam go spełnić. Odepchnęłam wszystkie myśli zdolne oddziałać szkodliwie na siłę mej woli i postanowiłam znaleźć środek do stanowczego rozdzielenia mnie z Robertem.

Wśród tych rozmyślań nadeszła godzina, w której zwykle schodziłam połączyć się z moją rodziną. Zebrałam z pewnem uczuciem smutku, dokumenta własności, które Ludwika przyniosła, a które leżały na posadzce, mówiąc sobie, że przyjdzie kiedyś dzień w którym to ciche i samotne ustronie będzie jedynem schronieniem dla mojego biednego zdruzgotanego serca.

Odepchnęłam jednak te myśli, czując dostateczną siłę charakteru do przezwyciężenia boleści. Pragnęłam zobaczyć Roberta, aby ustalić nieodwołalnie moją przyszłość. Ból ofiary zniknął pod wpływem zadowolenia, które wyradza spełniony obowiązek. Około trzeciej godziny przyszedł Robert jak zwykle. Był bardzo blady i Ludwika żartowała sobie z jego tajemniczego wyrazu twarzy. Co do mnie, nie śmiałam ani spojrzéć, ani mówić do niego, bo lękałam się stracić taką walką wyrobionej siły.

W twarzy Roberta, lekkie drżenie warg i ściągnięcie brwi, uwydatniało głębokie wzruszenie. Niewątpliwie oczekiwał, jak ja, chwili w której moglibyśmy rozmówić się samotni, ale czekaliśmy nadaremnie.

Wuja mego nie było wprawdzie w domu, ale w jaki sposób oddalić Ludwikę?

*(D. c. n.)*

# OSTATNI Z RODU.

## OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

**Władysław Kor. Zieliński.**

(Dalszy ciąg.)

### XI.

Zaledwo ukończył się sejm na którym wszelkie sprawy pokończono a nowe ustawy jednomyślnie prawie przyjęto, zaledwie przebrzmiała sprawa księcia Jana, a król na spotkanie z ojcem swoim Janem królem szwedzkim do Rawla podążył. Powódź hord tatarskich zalawszy Ukrainę i Podole w dniu 18 sierpnia 1589 r., zatrzymała się pod Lwowem i Tarnopolem.

Brak wojska, pustki w skarbie sprawiły, że na razie nie można było zapobiedz klęsce jaka Polskę nawiedziła. Pierwszymi, którzy przeciw najezdcom wyruszyli byli Struś, Potocki i Podlodowski, i ci Tatarów oblegających Baworów napadli i ciężką zadali im klęskę.

Łupami obciążeni Tatarzy, pobici i uchodzący do swoich siedlisk, łatwo mogli być pokonanymi, lecz jak zawsze, tak i teraz nie dozwoliły tego fatalne niezgody, wynikłe między Konstantym księciem Ostrogskim a Januszem księciem Zbarazkim.

Zamojski, któremu straż państwa poruczoną była, zebrawszy za pożyczane pieniądze nieliczne zaciągi, ruszył ze Lwowa przeciw najezdcom, do starcia jednak nie przyszło, bo nieprzyjaciel sądząc, że Zamojski nadciąga z nader licznemi wojskami, wysłał do hetmana posłów, z oświadczeniem chęci przyjacielskiego ułożenia się. Stanęła też ugoda i Belgejbej z wojskami powrócił za Dunaj.

Na wyprawę tę Zamojski wezwał także i księcia Jana, lecz ten dla wielce nadwątlonego zdrowia nie mogąc w niej brać udziału, pozostał w kraju i zamieszkał na czas pewien w Kraśniku, dokąd na skutek zaprosin przybyli także: Żędzian, Klonowicz, Lichański i Żórawski.

Górka tymczasem, po owym niefortunnym dniu w którym stanął oko w oko z dawną swą ofiarą Hanką Brzozkówną, oszalały prawie z gniewu, że śmiała stanąć przeciw niemu, zamknął się w murach Szczebrzeskiego zamku, gdzie w hulatykach chciał zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Na towarzyszach i uczestnikach bahanalii nie brak mu było, to też zamek Szczebrzeski rozbrzmiewał gędźbą, gdy tymczasem w Kraśniku czas mijał spokojnie na poważnych rozmowach i zabiegach czynionych by zaginioną Małgosię odszukać.

Tak książę jako też i Żędzian coraz bardziej stratą córki pognębieni, znaczne summy przeznaczyli w ofierze dla tego, kto da im wiadomość o pobycie porwanej. Nic to jednak nie pomagało.

Straszne zwątpienie opanowało na ówczas wszystkich; a nawet Żędzian podupadając na zdrowiu, straciwszy wszelką nadzieję, za powrotem do Lublina na początku roku 1590 legł na łożu boleści ciężką złożony chorobą. Otoczony gorliwą i serdeczną opieką tak księcia Jana, jako swoich przyjaciół i lekarzy takich jak Felkiela, Valentinusa, Lubelczyka i Tomkowicza, w pierwszych dniach maja błogosławiąc nieszczęśliwej córce i oddając ją w opiekę księciu Janowi, życia dokonał.

Pogrzeb uświetniony obecnością Mikołaja Zebrzydowskiego, Marka i Jana Sobieskiego, księcia Jana Słuckiego, tłumu szlachty przybyłej z okolicy, oraz wszystkiego mieszczaństwa, odbył się wspaniale, a sam archidiakon Lubelski ks. Bartłomiej Sabinek nad grobem w farnym kościele św. Michała, serdecznemi i rzewnemi słowy pożegnał zacnego mieszczanina i prawego obywatela kraju. Po pogrzebie, czyniąc zadosyć woli zmarłego, książę Jan, wraz z Felkielem, Klonowiczem, Lichańskim i Żórawskim, objął dozór i zarząd nad mieniem pozostałem po ś. p. Jakóbie Żędzianie, a to do czasu pokąd Małgosi nie odszukają lub też sama się nie zgłosi. W razie zaś, gdyby osiągnięto pewność, że poszukiwana nie żyje, wtedy mienie całe rozdzieliwszy na trzy równe części, oddać miano jedną część dwom siostrom zmarłego, drugą pannom Zakonnym, a trzecią ubogim. (1)

(1) Fakt autentyczny poczerpnięty z korespondencyi księcia Jana Słuckiego.

W trakcie tych wypadków, jeszcze za życia Żędziana, Michał Powała jak to wiemy całym sercem kochający Małgosię, a który wobec starań księcia sercu swemu nakazał milczenie, teraz, uprosił księcia, że pozwolił mu opuścić dwór jego i udać się w świat za poszukiwaniem Małgosi.

— Daj Boże! — mówił książę Jan do żegnającego go Powały — ażebyś wasze był szczęśliwszy od innych i Małgorzatę odszukał w zdrowiu i przy życiu. A gdziekolwiek będziesz i cokolwiek z tobą dziać się będzie to, przysyłaj nam wieści i niczego nie skąp. Szkatuła moja dla was otwarta, bierz z niej co potrzeba, a jeżeli taka wola Boga, że ją odszukasz, to bądź pewien, że wdzięcznym być potrafię!

Powała hojnie przez księcia Jana zaopatrzony, sam bez pachołka dosiadłszy dzielnego bieguna, po odbytej spowiedzi i otrzymaniu błogosławieństwa od zamkowego kapelana, dnia następnego wyruszył z Kraśnika w drogę, z postanowieniem wszystkie zakątki kraju przeszukawszy, udać się do Turcyi, bo być może, że aż tam Małgosia uwięzioną została.

Po śmierci Żędziana, książę Jan załatwiwszy liczne domowe sprawy jako też i dotyczące majątku zmarłego, podążył na sejm zwołany na dzień trzeciego grudnia do Warszawy, zkąd po zamknięciu sejmu już w styczniu 1591 r. naglony listami matki pospieszył do Wilna, gdzie zrazu dosyć często odbierał relacye od Powały.

Relacye te jednak nic pocieszającego nie zawierały, przeciwnie rodziły coraz większe zwątpienie a nakoniec wywołały utratę wszelkiej nadziei odszukania Małgosi.

Sędziwa matka księżna Katarzyna, bolejąc nad tem, że oba przy życiu pozostający synowie, dotąd jeszcze nie są pożenieni i w razie gdyby związków małżeńskich zawrzéć nie chcieli, to prastary ród książąt Słuckich wygasłby zupełnie, poczęła syna namiawiać, ażeby dłużej już nie wzdragał się przed zawarciem małżeństwa i co rychlej połączył się węzłem dozgonnym z Zofią z Mielca Mielecką córką Mikołaja wojewody Podolskiego i Elżbiety Radziwiłłówny.

Książę Jan długo opierał się tym namowom i prośbom, lecz nakoniec na widok łez i pognębienia matki zgodził się z jej wolą. Tego też roku jeszcze w listopadzie, opuściwszy Litwę i wracając do dóbr swoich Kraśnickich, wiózł z sobą młodą małżonkę, którą u wrót zamku Kraśnickiego na czele licznych dworzan i przyjaciół domu, powitał właśnie co z Niepłonic przybyły książę Aleksander Słucki.

Przez ożenienie się księcia Jana zabłysła nadzieja, że ród Olelkowiczów Słuckich, pochodzący od jednego z braci Jagiełły, nie wygaśnie i długie jeszcze wieki w Polsce kwitnąć będzie, przysparzając jej blasku. Dwóch już tylko ostatnich z rodu tego było: Jan Siemion i Aleksander, bo Jerzy najstarszy z braci, bezdzietnie zszedł z tego świata w 1579 r., czasu bytności swej w Słucku, gdzie na zamku zwanym „Kopeć" w starożytnej cerkwi był pochowany. Niedziw więc, że ożenienie się księcia Jana, nietylko w rodzinie lecz nadto u wszystkich życzliwych niemałą wywołało radość i że w skutek tego młodą księżnę z wielkim przepychem przyjmowano. Mimo tego książę Jan pogrążony w ciągłym smutku, bezustannie myślał o Małgosi.

Niebawem po uroczystościach weselnych i zabawach jakie na cześć młodej bratowej w Kraśniku Aleksander wyprawił, książę Jan szukając samotności i ciszy, wezwany sprawami dotyczącemi roz-

strzygnięcia sporu między Cerkwią na „Kopciu", a proboszczem miejscowym, na początku r. 1592 pospieszył do Słucka, gdzie z prawa starszeństwa dzierżył władzę patronalną.

Tymczasem na horyzoncie spraw publicznych gromadzić się poczęły groźne chmury niesnasek. Niechętni Zygmuntowi i Zamojskiemu, na nowo wichrzyć poczęli, lecz burzę nadciągającą zdołano zażegnać i król korzystając z chwili pokoju jaki zapanował, przystąpił w Krakowie dnia 30 maja do zaślubin z Anną arcyksiężniczką Austryacką, i zaraz po świetnych godach wyjechał z nią do Niepołomic, gdzie go książę Aleksander Słucki jako starosta z wielką wspaniałością podejmował.

Niedługo jednak król tam pozostawał, bo oto niechętni królowi, mimo chwilowej zgody, na nowo burzyć się poczęli i na 1 czerwca zjazd do Jędrzejowa zwołali.

Król widząc co się dzieje i pragnąc niechętnych uspokoić, wróciwszy do Krakowa rozpisać kazał niezwłocznie uniwersały zwołujące na sejm odbyć się mający 16 września. Wobec tego książę Jan pogodziwszy zwaśnione strony w Słucku, pierwszych dni września stanął z powrotem na zamku Kraśnickim, gdzie z niemałym smutkiem zastał brata swego mocno chorego.

Choroba nader szybko rozwijająca się, nie rokowała najmniejszej nadziei wyzdrowienia, jakoż przed samem rozpoczęciem sejmu książę Aleksander w objęciach ukochanego brata życia dokonał. Cios był to straszliwy jaki śmiercią brata zadany został księciu Janowi, który odtąd stał się bardziej milczący, bardziej stroniący od ludzi.

W tymże czasie Stanisław Górka wojewoda Poznański jadąc do Poznania, po ukończonym sejmie na którym mało co się odzywał, w Błoniu, nieopodal od Warszawy, nagle życia dokonał, pozostawiając jako ostatni z rodu niezmierne swe włości i dostatki Czarnkowskim.

Książę Jan w tak krótkim przeciągu czasu dotknięty tylu bolesnemi stratami, mimo wielkiej miłości młodej małżonki pragnącej rozerwać dręczące go myśli, mimo życzliwych przyjaciół chętnie i często w samotni jego nawiedzających, począł podupadać na zdrowiu. Obawiać się też poczęto i nie bez słuszności, że książę Jan prędzej czy później ulegnie tej samej chorobie co i bracia jego, i że na nim zakończy się ród starożytny i wielce zasłużony ojczyźnie.

Smutnie też i cicho płynęły dnie na zamku Kraśnickim, a tem smutniejsze dla księcia Jana, że przeczuwając niedaleką chwilę skonu, stracił nadzieję pozostawienia po sobie potomka.

Do tego smutku i pognębienia, przyczyniało się i to także, że rok już przeszło, jak od Powały żadnych nie było wiadomości. Widać, że i on udawszy się daleko na wschód, marnie także zginąć musiał.

Jedynie tylko dochodzące go wieści o świetnym zwycięztwie księcia Ostrogskiego pod Piątkowem nad Kozakami, jako też narodzenie się królewny Anny i szczęśliwe zakończenie sejmu zwołanego na dzień 11 maja 1593 roku, były to jedyne radosne chwile, które rozjaśniły w smutku płynące dnie księciu Janowi.

Tymczasem, gdy się to dzieje, Powała opuściwszy Kraśnik podążył najprzód do Szczebrzeszyna lecz tu nieodnalazłszy i śladu pobytu Małgosi, pociągnął w inną stronę kraju, w województwo Poznańskie. Przybywszy do Szamotuł, gdzie pod tę porę wojewody nie było, od wyroku uniewinniającego księcia Jana, niezwłocznie pospieszył na zamek szamotulski, zbudowany z wielkim przepychem w 1518 r. przez Łukasza Górkę dziada dzisiejszego wojewody. Odszukawszy tam jednego z dworzan z którym w Lublinie jeszcze przyjaźnił się, wywiedział się od niego, że wprawdzie Małgosia porwaną i uwięzioną została przez Brzozkę, lecz że tak Brzozka, jako też i dworzanie dodani mu do pomocy przepadli i że nic a nic nie wiadomo co się stać mogło i co się stało z Małgosią. Powała nie poprzestając jeszcze na tem, przez ciąg pobytu swego w Szamotułach śledząc i badając, przy pomocy różnych a hojnie opłacanych ludzi, doszedł nareszcie do tego przekonania, że i tu Małgosi także nie było.

Wobec tego nie pozostało mu nic innego, jak tylko zruciwszy z siebie suknie szlacheckie i pozbywszy się konia, przywdziać na się strój lichy i pod tą postacią ciągnąc od dworu do dworu, od chaty do chaty, od klasztoru do klasztoru, śledzić miejsca pobytu zaginionej.

Pożegnawszy też życzliwego mu Szamotulskiego dworzanina, sprzedawszy konia i przebrawszy się wedle powziętego zamiaru, z kijem w ręku i sakwami na plecach puścił się w drogę. Zwiedziwszy tak całe województwo Poznańskie, nie omijając ani jednego dworu i klasztoru lub też chaty, a zawsze bezskutecznie, podążył w inne województwa, które również zwiedził bez odszukania jakiegokolwiek śladu. Tak przeszedłszy całą Wielko-Polskę zdążył w drugim roku swej wędrówki na Ruś Czerwoną, gdzie przybywszy do jednego z klasztorów, wskutek ciężkich trudów pieszo odbywanej podróży, ciągłej troski i sił wycieńczenia, spoczął chorobą złożony. Tu dzięki pieczołowitości i staraniem przełożonego zakonu, któremu z celu swej podróży się zwierzył, okazując nadto listy wierzytelne, jakiemi przez księcia Jana i Żędziana był zaopatrzony, przyszedł w parę miesięcy do zdrowia.

Już miał zamiar wyruszyć dalej z klasztoru, lecz przełożony powstrzymał go z uwagi, że przebywszy tak ciężką chorobę, wśród srogiej zimy jaka podonczas panowała, puszczając się w dalszą drogę, narazić się mógł na niechybną zgubę. Ulegając też namowom zacnego kapłana pozostał w klasztorze, aż do pierwszych dni wiosennych. Mimo tej zwłoki jednak poszukiwania zaginionej nieustawały, bo przełożony zakonu, polecił za kwestą wysełanym braciszkom, badać i śledzić tak po dworach, zamkach jako też i klasztorach czy gdzie nieszczęśliwa nie przebywa. Z kwesty jednak wracający wysłańcy nic pocieszającego nie przynosili, zwątpił też już zupełnie Powała, aby zaginiona odszukaną być mogła i w tym sensie pisał parę listów do księcia Jana, donosząc o wszystkiem i że zamyśla latem, jak to miał oddawna powzięty zamiar, podążyć na wschód, aby i tam czynić poszukiwania. Listy te jednak jak nam wiadomo księcia niedochodziły, widać iż niesumienni i lekkomyślni posłańcy gubili je lub też i niszczyli.

Z początkiem maja, gdy już przełożony OO. Dominikanów Buczackich, rwącego się Powałę do podróży, dłużej zatrzymać nie mógł, pewnego dnia przybył do klasztoru z powrotem brat Jacek, szczególnie przejęty sprawą Powały, i jako były brat szlachcic uważał to sobie za obowiązek dopomódz bratu szlachcicowi będącemu w opressyi.

Brat Jacek, zsunąwszy się z bryki wyładowanej różnemi ofiarami dla klasztoru, otrząsnąwszy nieco kurzu, jaki pokrywał suknię jego, z torbą dobrze wyładowaną i przewieszoną przez ramię, wszedł pospiesznie do celi zajmowanej przez przeora, gdzie właśnie i Powała się znajdował. Na rozpromienionej twarzy brata Jacka malowała się radość, jakoż stanąwszy przed przeorem z uśmiechem na ustach i znacząco spoglądając na Powałę, zawołał takim głosem jak by to było na sejmiku lub też u stołu biesiadniczego:

— No! co teraz to moja tak długa włóczęga nie będzie mi może policzoną na karb starych nawyczek moich, między braćmi szlachtą. Przywożę bowiem nietylko na chwałę Bożą, dla klasztoru pełną brykę różnych specyałów i pełne sakwy talarów, ba i złotych portugałów, lecz przywożę także i pewne wieści, co mnie z długiego pobytu usprawiedliwią przed waszą wielebnością.

— O! już to wam, bracie Jacku, na wymówkach nigdy nie zbywa,—ozwał się przeor z uśmiechem dobrodusznym — otóż, żeś waszmość tak długo abscentował się po za murami klasztoru, to za to pokutę odprawisz, żeś przybył nie z próżnemi rękami to Bogu i naszym dobrodziejom niech będą dzięki, a za wiadomość jaką masz nam udzielić, jeżeli dobra, to już chyba udzielę waszmości absolucyą za wszystkie ułomności przed klauzulą zakonną spełnione.

— Ej! nie zgrzeszyłem ci ja tam wiele przewielebny ojcze przeorze, — odrzekł brat Jacek drapiąc się po łysinie — chociaż okazyi do tego nie brakło. Raz tylko pono w Wiśniczu, a drugi raz w Leżajsku coś nieco zapruszyłem sobie czuprynę i wtedy to, gdy któryś z adherentów pana Stadnickiego począł go wychwalać i podnosić rozum jego, i że rodzic jego jeszcze, wielebnych ojców zakonu naszego z klasztoru Łańcuckiego sromotnie wypędził, a na ich miejsce heretyków osadził, tak ja porwałem się do korda i chlasnąłem krzyżową sztuką, tego tam młokosa, aby go nauczyć moresu... Lecz mało co, prawie nic nie uczyniłem mu!

— Jakto prawie nic? zraniłeś go? — zapytał przeor.

— E fracha! niewarto i gadać, cóż ja winien, że rwał się do mnie jak opętany, urągając i mnie i zakonowi i świętej religii naszej. Ale nic mu nie było, sam dopilnowałem a nawet i oblepiłem go plastrami!

— Cóż więc, porąbałeś go waszmość?

— Nie, ojcze wielebny, — odparł pytany — ot, drasnąłem go tylko troszeczkę, rozpłatałem gębę na dwie połowy i ponoś nawet kawałek języka podkrzesałem... przy tem, ha! no cóż robić, dobrze się nawet stało, bo więcej bluźnić nie będzie!

— In nomine Patris! — zawołał przeor — a czyż to się godziło takiem hajdamactwem grzeszną już duszę obciążać? Za pokutę przez dziewięć piątków na intencyą porąbanego leglszy krzyżem przed obrazem Naj. Panny Maryi, ćwiczyć się będziesz dyscypliną!

— Veto! przewielebny ojcze! — zawołał brat Jacek — a gdzie verbum? Przecież wasza przewielebność raczyłeś mi dać generalną absolucyą jeżeli wieść jaką przywożę okaże się dobrą.

— Słowa nie cofam, — odparł Przeor — lecz jak dotąd, wieści te nie wiem jak ważyć.

— Ha no! prawda, otóż więc, — rzekł brat Jacek zwracając się do uważnie nadsłuchującego Powały, dowiedziałem się na pewniaka, że do zamku Łańcuckiego, jeszcze przed rozprawą Wiślicką i przed połączeniem się Zborowian z arcyksięciem Maksymilianem, wichrzyciel i heretyk ów dyabeł Stadnicki, przywiódł z sobą z dalekich stron jakąś dziewkę i osadził ją tam pod srogim dozorem starej swej mamki Zośki i burgrabiego zamkowego, takiego jak i on sam heretyka.

— A byłżeś tam waszmość i widziałżeś ją? — zapytał przeor.

— W zamku być nie byłem, — odparł brat Jacek — bo heretycy, jak rozwścieczone brytany strzegą doń przystępu, lecz oną porwaną niewiastę widziałem jak po wałach zamkowych przechadzając się, tęsknym wzrokiem spoglądała po polach i lasach siniejących w dali. Mówiono mi także, że niewiasta owa wielce jest bogobojną i że Stadnicki zawiódłszy się w swoich nadziejach radby jej teraz się pozbyć, lecz cóż, boi się by za popełniony gwałt nie oddał głowy katowi.

— Hm! hm! jest to poszlak ważny a może i trop pewny, jakże więc miarkujecie mości Michale, — zapytał przeor, zwracając się do Powały — czyż by to była przez was poszukiwana?

— Twierdzić tego nie mogę,—odparł Powała— lecz jakieś przeczucie mówi mi, że to ona.

— Cóż więc teraz poczniesz?

— Ha! jutro zaraz ruszę do Leżajska, — odrzekł Powała — i jeżeli przewidywania moje się sprawdzą, wtedy odwdzięczając się za doznaną gościnność i pomoc skuteczną, złożę hojne dary na rzecz klasztoru tutejszego, a na podziękę Najświętszej Panience jako wotum, złote perłami sadzone serce.

Dnia następnego równo ze wschodem słońca Powała, mimo nalegań Przeora, aby w drogę udał się bryką i końmi klasztornemi, w lichej jak przyszedł odzieży, z kosturem w ręce opuścił mury klasztoru Buczackiego dążąc ku upragnionemu celowi.

*(D. c. n.)*

---

## KORESPONDENCYA Z WŁOCŁAWKA.

Światło i nauka! oto hasło XIX wieku, które przebiegając po krańcach naszej ziemi, budzi do życia umysłowego sfery pogrążone dotąd w bezmyślnej apatyi, nie wyróżniając chat kmieci, niskich progów rękodzielników i tych nawet co krwawą pracą zdobywają kęs chleba, potem znoju zaprawny!... Bo za ten mozół ciała, za zaparcie się potrzeb zespolonych z naturą ludzką, za bój i walkę, za grosz przedostatni rzucony na książki, wpis i mundurek, kupują przyszłość lepszą synom swoim bo oświetloną promieniem wiedzy i budują gmach nadziei, na którym ma spoczącząć ich siwa skołatana, rodzicielska głowa!... A potem, czyż nie nastąpi wreszcie zrównoważenie stanów, gdy syn magnata zasiądzie na wspólnej ławie szkolnej z synem kmiecia lub rzemieślnika i wśród uczty naukowej wzniosą toast koleżeństwa, który przebrzmi i po za murami szkoły błogiem echem pamiątek, przejdzie cieniem wspomnień w późniejsze lata i skojarzy ich węzłem przeżytej razem ukochanej pierwszej młodości.

Do szkoły tutejszej sześcioklasowej realnej, przepełnionej uczniami po nad cyfrę oznaczoną, dzięki władzy szkolnej, dodano klasę paralelną, która pomieściła liczniejszy niż innych lat zastęp chłopczzków.

Dzień pierwszy otworzenia szkół rozpoczął się z Bogiem uświęcony uroczystem nabożeństwem w katedrze miejscowej. Starożytna ta świątynia której początek datujemy od roku 1340, zbudowana na gruzach katedry przeniesionej z Kruświcy, a zburzonej świętokradzką ręką Krzyżaków i Czechów, posiadała wiele drogocennych pamiątek, zabranych przez Szwedów, którzy łatwo wdarli się do Władysławowego grodu, nigdy nie obwarowanego murami. Mijały lata, ząb czasu niszczył kościół biskupi, pleśń opuszczenia trawiła go powoli. Staraniem i funduszami ks. biskupa Popiela odnowiono i wyrestaurowano dom Boży i cudami słynący Jezus Tumski wzywa dziś do modlitwy za tego, co podniósł, odświeżył i odmłodził święty przybytek Jego.

Modlitwą więc rozpoczęła młodzież szkolna rok poczynającej się nauki. Modliliśmy się wszyscy, kościół był przepełniony, a kto nie uczestniczył tym gorącym modłom o przyszłość, garnącej się młodzieży naszej, niech żałuje, że nie słyszał mowy ks. Szafnickiego prefekta szkół, która potęgą żarliwego słowa ogólne wywarła wrażenie i nie z jednej piersi wydarła jęk skrywany, łzę tajoną, zaparte westchnienie!...

Dźwięczny, donośny głos kapłana płynął ku słuchaczom, jak ongi głos mistrza do pragnącej rzeszy, jak ongi głos Ojca do dziatek, które ukochał i którym błogosławił. I biły serca młode pod szkolnym mundurkiem i łzawiły się oczy a usta szeptały przyrzeczenia, że zbolałe matki nie będą smutnemi ofiarami próżniactwa synów swoich i że pójdą drogą, jaki im zacny kapłan mistrz ich w całem słowa tego znaczeniu, wskazuje.

Przy nadchodzących wpisach niech mi wolno będzie w imieniu niezamożnych uczni wnieść prośbę do możnych a szlachetnych o stypendya, przypominając słowa Chrystusa: błogosławieni miłosierni... Innych lat bywały koncerta i teatra amatorskie, dla tych co nie mają za co i z czego się uczyć, dziś i na filantropią nie stać mieszkańców Włocławka... Teatrzyk letni p. Kremskiego rozgrzewa dramatami ziębniętą publikę, która wśród wczesnych mroźnych podmuchów wieczornych żywego dramatu nabawić się może.

Drożyzna u nas straszliwa, począwszy od wygórowanej ceny lokali a skończywszy na chlebie i kartoflach. Jeżeli tak dalej potrwa, wartoby zawczasu pomyśleć o poddaszach i suterynach, aby niedopuścić tam czarnego widma zimy i głodu. Znane z cnót i miłosierdzia damy jak np. p. Fi... G... mogłyby między równych szlachetnością sobie rzucić myśl, któraby w czyn zamieniona przyniosła dochód wyjątkowej nędzy i otarła łzę nieszczęśliwym, którym los odmówił uśmiechu swego a z nim kęsa chleba i ciepłego komina wśród zimy. Aniele opiekuńczy biednych nie ustawaj na swej szlachetnej drodze...

*Paulina Biernacka.*

---

## Z POD NASZEJ STRZECHY.

W ostatnim numerze „Prawdy", dwóch jej współpracowników na prawdę dostało bzika. Jeden stara się dowieść, że August Comte z pokręconym w głowie pozytywizmem, jest ni mniej ni więcej tylko *nowożytnym mesyaszem*, mającym na podstawy dalszego życia ludzkości, zużyć wszystko co cywilizacya przez kilkanaście wieków wytworzyła, drugi zaś rozbrykany jak rumak Mazepy stanął dębem krzycząc wielkim głosem: wszyscyście głupcy a ja mądrość chodząca!

Głosiciel *nowożytnego mesyasza* w puch rozbił religią, uzurpowany mędrzec wszystko co wielbią miliony. Pierwszy z mniemaną erudycyą popisuje się jak żaba, wyciągająca nogę do podkowy, drugi poniewiera wszystko i wszystkich jak żak próżniak wypędzony ze szkoły, pewny, że byłym zwierzchnikom może pokazać język bezkarnie.

Pierwszy wydęty jak balon, tak w swawoli niby myśliciela przesadził, że aż Redakcya pomimo swego radykalizmu uznała za konieczność zrobienia przypisku, iż wszystkich wywodów jego nie podziela i Comta za mesyasza nie uważa. Drugi zaś hałaśliwy jak pęcherz, swobodnie łajanie bez żadnego zastrzeżenia Redakcyi wywrzeszczał. Jeden zaś i drugi w mądrość swą i wielkość ufni, dowiedli jak na dłoni, jak zarozumiałość do obłędu przywodzi nawet ludzi pozornie coś umiejących.

Dlaczego „Prawda" obu tem majaczeniom, gościnnie progi swych kolumn otworzyła, pojąć trudno. Gdyby już nie wgląd na treść, to już samo pałaszowate traktowanie tak ważnych kwestyi, podobne do rąbaniny na oślep człowieka pozbawionego przytomności, powinno ją było od tego odwieść. Że tak nie zrobiła, zadowolniła zapewne siebie, ale z pewnością nie swych czytelników.

A jednak ta sama „Prawda" w artykule p. t. „Góra i mysz" podniosła głos nagany książeczek dla ludu, wydanych przez poważną korporacyą jedynie w tym celu zawiązaną, którą prawie w zupełności podzielamy.

Sprawozdawca przeglądem każdej oddzielnie zganionej książeczki, usprawiedliwia dostatecznie wyrzeczone o niej zdanie, zarzuca w nich bezużyteczną gadaninę, szkodliwość, fałsz w pomyśle, frazeologią, sentymentalizm, brak celu i treści, a za przyczynę tak nietrafnego wyboru nieznajomość ludu i jego wymagań.

Oj! z tą nieznajomością jego to wielka bieda.

Radzącym o jego dobru i piszącym dla niego, gwałtem się zdaje, że to jakaś generacya ludzkich tylko postaci ale nie ludzi prawdziwych, do których naturalnie trzeba przemawiać jak do dzieci ucząc ich że ogień parzy a lód ziębi. Tymczasem zupełnie jest inaczej.

Lud wszystko pojmie i zrozumie, nawet najzawilsze myśli rozumu ludzkiego, byle jasno przedstawione. Lud także jest jak my ciekawy, ale pragnie aby tę ciekawość zaspokojono nie nudą i powtarzaniem oklepanych frazesów i dowodzeń, ale tem co go istotnie zająć i zabawić może.

Lud równie jest religijny, szanuje kapłanów, co w nim wielce poważamy, ale wywodami czysto religijnemi nie zajmie się jak należy, bo te tylko, dla wyjątkowych umysłów są pociągające.

Nie wchodząc w to czy to źle czy dobrze, podnosimy tylko to jak jest, aby wydawcy z wyborem a piszący z treścią umieli się odpowiednio urządzać.

Wydawajmy więc książeczki ciekawie napisane a lud z pewnością czytać je będzie a nawet kupować. Tak robi p. Grajnert i Promyk i nie tracą na swych wydawnictwach choć ich nie podpiera żadna korporacya zbiorowa w kapitał zaopatrzona. Czyżby więc nie lepiej było, aby owa korporacya zawiesiwszy wydawnictwa, zajęła się jedynie upowszechnieniem książeczek już wyszłych a uznanych przez nią za dobre i godne upowszechnienia? Na to bowiem co dotąd wydała, rzeczywiście szkoda czasu i atłasu!

— Kłótnia i wrzawa w wojnie z Żydami, jakoś żadnym sposobem przyciszyć się nie chce. Kwestya już zaczyna być nużącą a nawet wstrętną, nie treścią swą ale sposobem jej obrabiania. Buta także Izraelity zanadto się rozhajdamaczyła, pokorniejsza postawa byłaby odpowiedniejszą, jako przynależna tym co wszystko zyskali a dali tak mało, tak maluczko, podobno nic nawet, że o tem

i mowy być nie może. W przyszłości ma być inaczej, na nią się też i my oglądamy, ale po wyzywającem stanowisku „Izraelity” zaczynamy powątpiewać czy to się spełni. Zły to znak, radzimy szczerze, nad tem się zastanowić i pamiętać, że się nie jest sądzącym tylko obwinionym.

— *Warszawskie Towarzystwo dobroczynności*, w niemałym znajduje się kłopocie finansowym i trudno nawet przewidzieć jak z niego wybrnie. A jest to sprawa niemałej doniosłości, nawet ważniejsza jak niejeden sądzi.

Nędza to także potęga, do dobrego nigdy nie wiodąca. Wprawdzie Towarzystwo nie usuwa jej ale broni od ostateczności. Dotąd szło to jako tako, od kilku lat jednak skutkiem drożyzny, wydatki ciągle zwiększały się, dochody zmniejszały, a w tym roku ubyło jedno z ważnych źródeł jego, loterya fantowa w ogrodzie Saskim corocznie dotąd urządzana. Towarzystwo też jest na drodze bardzo pochyłej, wiodącej do znacznego umniejszenia swej działalności, które i tak dość było ograniczone.

Wiemy, że w Towarzystwie nad tem położeniem radzą, a tu na dobitkę złego, tu i owdzie choć szeptem ale podnoszą się głosy bardzo energicznie powstające, przeciw samej działalności Towarzystwa, oskarżające je o stronność w rozdziale funduszów w jego rozporządzeniu będących. Głosy te wprawdzie w prasie peryodycznej jawnie nie występują, ale w prywatnem, codziennem naszem życiu spotkać się z niemi często można.

Dobro Towarzystwa naturalnie cierpi na tem, prasa milczy i mybyśmy ten zarzut pominęli, ale gdzie idzie o naradę w tak ważnej kwestyi, wszystko szczerze i otwarcie powinno być wypowiedziane. Usprawiedliwienie z niego należy do samego Towarzystwa, co nie trudno przyjdzie mu spełnić, byle uwzględniono podstępy niegodziwych wyzyskiwaczy, którem ludzie ożywieni najlepszą wolą uledz mogą. Mówimy to z własnego i wielu innych osób doświadczenia, Towarzystwo także złożone jest z ludzi mylić się mogących, zwłaszcza, że sposoby wyzyskiwania w czasach naszych niezmiernie się wydoskonaliły i liczba rządzących się zasadą darcia łyka o ile można, znacznie się zwiększyła i ciągle powiększa.

Cóż więc robić, aby Towarzystwo nietylko uchronić od upadku ale nawet dochodów mu przysporzyć?

Zdaniem naszem dwa są środki radykalne.

1. Usunąć zupełnie żebraków ulicznych z pozostawieniem ich tylko przy kościołach i to upoważnionych do tego przez dozory kościelne, wspólnie z Towarzystwem w tym razie działające, i

2. Dobrowolne opodatkowanie się wszystkich mieszkańców na rzecz Towarzystwa.

Usunięcie wprawdzie żebraków ulicznych wyłącznie przez Towarzystwo dokonać się nie da, ale działać w tym kierunku może i kując ciągle coś w końcu wykuje.

W większych miastach Europy żebractwo zupełnie nie ma miejsca, dlaczegóżby i w Warszawie nie mogło to nastąpić?

Co zaś do dobrowolnego opodatkowania, ułatwić to mogą właściciele domów przy rozdaniu im odpowiednich kwitaryuszów, w których sami mieszkańcy zapisaliby wysokość składki miesięcznej przez siebie oznaczonej. Opinia publiczna byłaby tu kontrolerem i egzekutorem, ale warunek niezbędny, aby wszelkie żebractwo tak uliczne jak po domach wzbronione zostało i każdy dopuszczający się go, do policyi mógł być odstawiany. Przestrzeganie tego porządku, stanie się rękojmią regularnego wpływu składek dobrowolnie przyjętych. Każdy bowiem raz się zobowiązawszy, chętnie ją składać będzie, gdy uwolniony zostanie od nieznośnych naprzykrzań się żebraków co krok niemal na ulicy spotykanych i od natręctwa ich w mieszkaniu, pod pozorem których wciska się niemało złodziei, albo zaraz kradnących lub tylko przepatrujących i układających plany przyszłych rabunków.

Wykonanie tych środków napotka niezawodnie wiele trudności, wymagać będzie niemało starania, zabiegu i energii, ale dobra wola wszystko pokonać może a o brak jej, członków Tow. Dobr. posądzać nie można. Dali jej już liczne dowody, niechże i tą radą nie pogardzą, wypływającą z uznania ich tak bardzo pożytecznej działalności.

# Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Czytamy w „Kur. Warsz.” fakt godzien powtórzenia.

„Przed kilku tygodniami zawitał do naszego miasta pewien młody człowiek, ukończony technolog z instytutu petersburskiego, który od pięciu już lat nie był w Warszawie. Obecnie otrzymał korzystną posadę w cukrowni na Ukrainie i na krótki tylko czas przybył do rodzinnego miasta, dla zobaczenia się z ukochanemi siostrami. Trudno dać temu wiarę a jednak przekonaliśmy się dowodnie, iż młodzieniec ten kształcąc się w Petersburgu, gdzie dla studenta bez stosunków coraz trudniej o zarobek i pracę, zarabiał przecież tyle, że był w możności utrzymywać trzy siostry, jedną na pensyi, a dwie jako uczenice w magazynach. Zarabiał około 100 rs. miesięcznie i dlatego, przy studyach instytutowych, mógł sypiać zaledwie cztery do pięciu godzin na dobę, odmawiając sobie koniecznych wygód i prowadząc prawdziwie spartańskie życie. Na wakacye nawet nie wyjeżdżał, aby nie tracić czasu i lekcyi. Obecnie, dobiwszy się pewnego stanowiska, dzielny młodzian opowiada, iż głównym bodźcem w pracy i spełnianiu obowiązków była dla niego... „Oda do młodości”. Jestem realistą, mówi, a jednak te słowa wieszcza „młodości! ty nad poziomy” i t. d. dodawały mi otuchy i podtrzymywały w codziennej walce o byt własny i moich najdroższych.”

Takie postępowanie znamionuje piękny charakter, wielką siłę woli i wytrwałość, a do posiadające te przymioty, może dadzą się kiedyś zastosować i dalsze słowa ody: „Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze”...

*** W Rzymie powstać ma instytucya poświęcona studyom nad historyą i archeologią polską: inicyatorem jej jest hr. Dienheim-Brochocki. Podobno sejm galicyjski wziął projekt ten pod rozwagę i urzeczywistnieniem jego zająć się postanowił.

*** Lord Ilchester założył w Anglii fundacyę z procentów której wychodzi tamże corocznie pewna liczba dziełek poświęconych dawnej Polsce i rzeczom do niej się odnoszącym. Ostatnie z tych wydawnictw p. t. „Slavic and latin”, jest streszczeniem odczytów Abel'a, miewanych w Oxfordzie. Autor wygłosił o nas nader sympatyczny pogląd, język polski nazywa miodopłynnym, literaturę bogatą. Największe zajęcie budzi część dzieła poświęcona poglądom etymologicznym i głosowni; cała rozprawa jest częścią większej pracy, mającej na względzie wykład porównawczy.

*** Od pewnego już czasu wiele bardzo mówiono u nas o mającem zawiązać się „Towarzystwie opieki na zarobkiem kobiecym”, którego utworzeniem zająć się miały wpływowe osobistości. Tak mówiono i pisano—i na tem się skończyło. W Poznaniu zamiar podobny prędko urzeczywistniony został. Na wiosnę r. b. zawiązało się „Towarzystwo opieki nad zarobkiem kobiecym” i rozesłało w maju okólnik następującej treści: „Wspierać chcemy nie jałmużną, gdyż ta demoralizuje, lecz dostarczaniem pracy i odpowiedniem jej wynagradzaniem” — czego nie można powiedzieć o zapłacie jaką dają właściciele czy właścicielki magazynów i sklepów. Towarzystwo poznańskie wyszukuje i daje pracę biednym szwaczkom, wynagradzając je cztery razy więcej niż magazyny, a później rozprzedaje tę robotę po cenie niższej niż magazynowa, małym zadawalniając się zarobkiem. Od dnia 1 października, Towarzystwo otwiera własny sklep, którego celem będzie dostarczanie roboty biednym pracownicom z jednej strony, z drugiej znów dostarczanie tanio ludziom uboższym najpotrzebniejszych części ubioru. I tak np. koszula mężka nie całe dwa złote kosztować będzie. Oprócz tego w sklepie tym można będzie nabywać materyały sprowadzane wprost z fabryk, a więc taniej niż w innych sklepach. Jeszcze przed otworzeniem sklepu, rozkupiono od Towarzystwa worków do zboża za przeszło 600 marek. Na czele Towarzystwa stoją przeważnie dobroczynne panie poznańskie, ale przystąpiło do niego także wielu mężczyzn. Zakładowy kapitał stanowić ma 4,000 marek, powstały z udziałów po 20 marek. Jakże dobroczynny wpływ wywarłoby u nas podobne stowarzyszenie!

*** Petersburski illustrowany tygodnik niemiecki „Gnom” zamieścił reprodukcyę obrazu profesora Kellera, p. t. „Legenda” i podał zarazem treść tejże legendy, będącej przedmiotem obrazu.

„Estowie żyli spokojnie w swym cichym urodzajnym kraju, aż oto przyszli uzbrojeni rycerze, pobudowali sobie zamki i ujarzmili Estów. Jeden z tych rycerzy pokochał estońską dziewoję, ale nie znalazł wzajemności. Niechcąc wziąć jej przemocą, po namyśle oddał ją pieczy „czarnego człowieka”, ten nauczył ją różnych modlitw i w ślubnym stroju wprowadził do kaplicy i zaczął lać jej wodę na głowę. Lecz zaledwie strumień wody dotknął czoła dziewicy, pochyliła się i zapadła w sen głęboki. Rycerz kazał włożyć ją w trumnę i zanieść do podziemia, a sam przywdziawszy zbroję, położył się na trumnie i zasnął snem śmierci.

Od owego czasu upłynęły wieki. Aż chciwy jakiś owego rycerza potomek, dowiedziawszy się, że w trumnie jest kosztowny talizman zwany „maa” (ziemia), zapragnął go posiąść. W tym celu zszedł do podziemia, lecz gdy odkrywszy wieko trumny sięgnął po talizman, starożytny rycerz w proch się rozsypał, zaś uśpiona dziewica powstała z trumny świeża i piękna jak przed wiekami, i rzekła groźnie: „Precz stąd! przodek twój zabrał mi wszystko, ale „maa” nie twoja!... nie sięgaj po nią, bo się w proch jak ten rycerz rozsypiesz!”

Piękna ta legenda posłużyła profesorowi Kellerowi za temat do pięknego i efektownego obrazu.

*** Liczbą szkół, zakładów naukowych i uniwersytetów, Stany Zjednoczone przewyższają wszystkie państwa. Szkół wogóle jest tam 188,918 a pobiera w nich naukę 9,729,189 uczniów, pod kierunkiem 280,812 nauczycieli, czyli 156,351 nauczycielek i 125,084 nauczycieli, a oprócz tego 8,619 wyższych nauczycieli. Liczba nauczycielek przewyższa liczbę nauczycieli o 30,000, gdyż zawodowi temu chętniej oddają się w Ameryce kobiety niż mężczyźni. Oprócz powyższej liczby znajduje się tam 220 szkół normalnych, do których uczęszcza przeszło 25,000 uczniów. Zakładów wyższych naukowych przeznaczonych wyłącznie dla kobiet jest 227. Fakultetów literatury 351, fakultetów nauk ścisłych 83, medycznych 120. Na same tylko publiczne szkoły elementarne, wydają Stany Zjednoczone 817,795,929 dollarów czyli przeszło półtora miliona rubli.

*** Odbywają się obecnie w Petersburgu próby z przyrządem do opalania mieszkań naftą, jeźli wydadzą pomyślny rezultat, to może w niedalekiej przyszłości nafta zastąpi drzewo i węgiel, jako tańszy od nich materyał opałowy. Podobnych prób dokonano już w Saratowie, z przyrządem Bałaszowa i Nidentala, oto jego opis:

Ustawia się na ścianie dwa rezerwoary kształtu płaskich butelek; do jednego wlewa się woda, do drugiego nafta. U dołu rezerwoaru umieszczone są mocne krany, skierowane do wspólnej lejki, przez którą płyn dostaje się do rury przeprowadzonej do paliwa. Na końcu rury mieści się rodzaj kratki, rozdzielającej na krople naftę płynącą z rezerwoaru. Z chwilą palenia otwiera się kran rozerwoaru, o tyle żeby nafta spływała małym strumieniem. Nafta zapala się od ognia rozłożonego w paliwie; jednocześnie otwiera się kran od wody, która spadając kroplami, powiększa promień płomienia, stosownie do objętości paliwa. Według doniesień próby miały wypaść świetnie. P. Nidental, który dotąd wydawał na opał po 2 rs. dziennie, używa obecnie nie więcej nad 25 funtów nafty, kosztujące najwięcej 27 kop., co kosztuje mniej niż pierwszy o 86 proc. Przyrząd powyższy daje się zastosować zarówno do opalania pokoi, jako i kotłów parowych, lokomobil i wszelkich innych ognisk, oraz zabezpiecza od pożaru.

*** Jak kwiaty tak i kamienie mają swój język. I tak: brylant oznacza czystość, wiarę, wierność i radość. Perła oznacza łzę, i dlatego zapewne dotąd u nas dochował się przesąd, aby panna młoda w dzień ślubu nie miała na sobie pereł, gdyż zapowiadałyby jej łzy w pożyciu. Rubin oznacza współczucie i miłość gorącą, a gdy osobie noszącej ten kamień zagraża jakieś nieszczęście, utrzymują że barwa kamienia blednie. Turkus ma posiadać własność bronienia od upadku i nagłej śmierci; oznacza szczerość i stałość i dlatego uważany jest za kamień zaręczynowy. Szafir oznacza prawość i zadowolnienie. Topaz, zwany przez starożytnych „złotym kamieniem", jest godłem bogactwa. Ametyst oznacza namiętność i cierpienie. Szmaragd znaczy nadzieję, zwycięztwo, nieśmiertelność, nazywają go „kamieniem dziewiczym".

## OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

*Ubranie z paletocikowym stanikiem, dla młodej panienki.* Stanik z gładkiego kolorowego dyjagonalu ma przody środkiem zaplisowane; kołnierzyk stojący, mankiety i kieszonki aksamitne. Spódniczka z materyału w kolorową kratę składana na kontrafałdy, przewleczone trzema rzędami aksamitki; z boków wielkie kokardy. Kapelusz filcowy.

*Okrycie z szalu indyjskiego.* Szal zapięty jest szpilkami na jednem ramieniu a na drugiem zaszyty w fałdę podług figury. Z tyłu wcięcie stanu powinno odznaczać się upięciem.

*Sukienka bluzkowa dla młodej dziewczynki.* Dolny brzeg bluzki podwinięty w bufę, zachodzi na spódniczkę składaną w kontrafałdy, oszytą plisą w kratę ciemniejszą, takiż kołnierzyk i mankiety.

## Zawiadomienia.



Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Октября 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

# W DOBRYM TONIE.

Przekład z angielskiego

Przez K. P.

(Dalszy ciąg.)

— Skończyłem już, Henrieto, rzekł po niejakim czasie zamykając księgę. Może mi co zaśpiewasz?

— Co mam zaśpiewać?

— Jakąś balladę. Ale nie, zaśpiewaj: *Posępne dni*, najwięcej to lubię.

— Henrieta odśpiewała z czuciem, czystym i dźwięcznym głosem, ulubioną piosnkę męża, a gdy ją skończyła Bryan zapytał:

— Czy wiesz czemu tak lubię słuchać tej piosenki?

Przelotny uśmiech przesunął się po ustach Henriety.

— Domyślam się.

— A więc powiedz czemu.

— Zapewnie dla tego że... podobała ci się jej cnota.

— Nie.

— Nie? nie podoba ci się? To czemu żądałeś abym ją śpiewała?

— Dlatego że w mej pamięci łączy się z wspomnieniem pewnego obrazu, który, gdy ją słyszę staje mi znów przed oczyma.

— A czy ja nie mogłabym się domyślić co przedstawia ten obraz?

— Nie. Czy chcesz się dowiedzieć Henrieto?

— A gdybym też go sama potrafiła opisać?

— Spróbój przebiegła istoto. Zobaczymy czy ci się uda.

— Obraz twój przedstawia pokój z białemi firankami, z szarem obiciem i ciemnym dywanem na podłodze. Na fotelu, przy oknie, siedzi kobieta w poważnym wieku, a dwudziestoletnia panienka, w ciemnej sukni śpiewa przy fortepianie: *Posępne dni*, nie domyślając się że młody mężczyzna wsunął się do pokoju, i słuchał stojąc za jej krzesłem. Gdy skończyła; pani siedząca na fotelu zbliżyła się do niej i ucałowała ją, a syn jej zawołał... Co takiego, Bryanie?

— Zawołał: *Brawo!* rzekł Bryan, i uściskał żonę.

— Tak pragnęłam podobać się twej matce, tak ją już kochałam!

— I moja żoneczka umiała tak dobrze ukrywać to w sercu, że nie wiedziałem o niczem.

— Nie domyślacie się wielu rzeczy, moi panowie, nawet gdy wam się zdaje że przewyższacie pod każdym względem wasze żony.

— Zdaje mi się że i nasze biedne żony, mają nie najgorsze wyobrażenie o swej wartości!

Nazajutrz też same promienie słońca które przebudziły Letycyę, rozproszyły także wszelkie chmury na jej czole. Podczas śniadania była ciągle tak uśmiechnięta, pieszczotliwa i wesoła, że Frank czuł się zupełnie szczęśliwym.

Po śniadaniu, Frank poszedł do księgarni, a mistress Tippington włożyła na głowę malutki florencki kapelusik, przybrany błękitną wstążką i niezapominajkami, świeżutką suknię muślinową i zgrabny paletocik z czarnego *faille*, wzięła w rękę notesik oprawny w perłową konchę; stanęła przed lustrem i przyglądała się czas jakiś jaśniejącej młodością i wdziękami osóbce, której obraz w niem widziała, a następnie udała się do Franka — niech zobaczy jak śliczną ma żonkę—poczem udała się do mistress Donolly.

Biedny Frank siedział właśnie nad księgą rachunkową, i podniósł na chwilę głowę aby przypatrzéć się tak zachwycającemu zjawisku. Niestety! czemuż nie mógł porzucić swego zajęcia! Czemu nie mógł towarzyszyć swej Letycyi, i odetchnąć razem z nią porannem tchnieniem wiosny. Westchnął, ale choć z bólem serca poświęcił przyjemność dla obowiązku.

— Nie wrócę dziś prędko, zawołała Letycya. Przejdę się trochę, gdy wyjdę od pani Donolly. Dzień tak piękny, że byłoby grzechem więzić się między czterema ścianami!

— *All right*, moja pieszczotko! Gdybyś mi powiedziała którędy zamierzasz wrócić, wyszedłbym naprzeciwko ciebie.

— Którędy wrócę? Poczekaj niech się namyślę. Wszak na końcu miasta niedaleko sosnowego lasku, znajduję się skwer? — Frank skinął twierdząco głową: — Przejdę lasek, następnie park należący do pałacu, i wrócę przez drogę od Clonalkity. Przypominasz sobie? Gdzie to chodziliśmy raz słuchać kukułki.

— Wiem. Zdaję mi się że nie będę dziś miał bardzo wiele roboty, i że się tam spotkamy.

— Au revoir, zawołała Letycya już na ulicy, przesyłając mu od ust pocałunek.

Letycya bardzo lubiła popisywać się na ulicy ze swą francuzczyzną, było to według niej oznaką dobrego tonu. Idąc rzucała naprawo i na lewo tryumfujące spojrzenia osoby pewnej że wszystkich oczy zwracają się ku niej, i wkońcu zatrzymała się przed drzwiami pani Donolly. Czysto ubrana służąca wprowadziła ją do saloniku, w którym Henrieta już czekała na nią.

Jeśli skwer przy którym mieszkali państwo Donolly można było uważać za nec plus ultra dobrego tonu, w porównaniu z tą częścią miasta w której Frank miał księgarnię, to cóż powiedzieć o ich domu wyglądającym tak „po pańsku" nie spospolitowanym obecnością sklepu! — piwnice pana Donolly znajdowały się przy innej ulicy. Tu wszystko nosiło na sobie cechę wyższego tonu i wykształconego gustu. W sercu Letycyi powstała walka między zazdrością i zadowolnieniem z posiadania tak dystyngowanych przyjaciół. Mistress Donolly nie pozwoliła aby zwycięztwo przechyliło się na tę lub ową stronę.

— Jakże mi przyjemnie powitać panią! zawołała podając rękę wchodzącej.

— Nie ma zwyczaju wychodzić tak rano, odpowiedziała Letycya, ale dla pani!

Gdy to mówiła przybierając pełną przesady postawę, spostrzegła siedzącą na taborecie czteroletnią dziewczynkę, z jasnemi loczkami i dużemi oczyma, tego odcieniu błękitnego koloru, właściwego mieszkańcom Irlandyi.

— To nasza jedynaczka, rzekła Henrieta, z wyrazem niewysłowionej czułości. Nasz skarb jedyny, i jedyna troska. Stan jej zdrowia przejmował nas już nie raz ciężką obawą.

Letycya ucałowała dziewczynkę.

— Jakaż to śliczna, miluchna dziewczynka! Lubię namiętnie dzieci! Biedny aniołek! Ale ta rumiana buzia, te pulchne rączki dowodzą że jest teraz zupełnie zdrowa.

— Tak, dzięki Bogu; zdaje się że z każdym dniem przybywa jej siły.

— Jakaż to rzecz straszna pielęgnować chorego! rzekła Letycya z dreszczem doskonale naśladowanem. Szczególniej też chore dzieci! Są one podobno bardzo nieposłuszne, uparte i grymaśne.

— Trudno zaprzeczyć że dziecko grymaśne i nieposłuszne może sprawić wiele przykrości, i że z tą moją pieścioszką miałam niekiedy wiele kłopotu. Dzieci nie umieją znosić cierpliwie choroby, cierpienie je niecierpliwi, czyni opryskliwemi bez ich woli i wiedzy. Trudno pomiarkować wtenczas, gdzie pobłażliwość powinna ustąpić miejsca stanowczości. Jednak wszelkie trudy jakie dla nich ponosimy są dla nas słodkiemi, i gdy Bóg pozwoli nam szczęśliwie przebyć taką próbę, przychodzi nam na myśl że i ona miała swą dobrą stronę... że wszystko jest dobrem!

Letycya obciągnęła stanik spojrzała w lustro chcąc się przekonać czy kapelusz nie zsunął jej się z głowy, przygryzła usta aby nabrały żywszego koloru, a potem zawołała.

— Wszystko jest dobrem! Choroba jest dobrą! Dla mnie jest ona czemś strasznem, przerażającem! Zamknąć się w pokoju chorej osoby! Nie, niepotrafiłabym się zdobyć na to!

— O! zdobyłaby się pani z pewnością, gdyby to było potrzebnem. Zresztą tę próbę Bóg na nas zsyła, i to podwaja naszą odwagę.

— Bóg! Wszakże najcięższe choroby przechodzą do nas od innych ludzi, a niekiedy nawet od zwierząt. Moja ciotka dostawała zawsze kaszlu, gdy jej kot miał katar!

Dziecko siedzące przy nogach pań, słuchało ich rozmowy z otwartemi usteczkami. Gdy Letycya wspomniała o kocie, co było dla niej zrozumiałem, wmieszało się do rozmowy:

— I Minia ma *kizię*.

— Masz kotka, pieścioszko? Nie baw się nim gdy ma katar, Mistress Donolly, ile ma lat to śliczne dziecię?

— Skończyła cztery w przeszłym miesiącu.

— Pani, a ty ile *mas* lat? zapytała dziewczynka.

— Ja? Dziewiętnaście, a po długim, długim czasie, będę miała dwadzieścia, odpowiedziała, śmiejąc się Letycya.

— Jesteś *lana* pani, Minia *pocaluje*.

Wspięła się na paluszki i zarzuciła rączęta na szyję Letycyi, która zarumieniona, uśmiechnięta, odwzajemniła się dziewczynce za jej pieszczoty. Kompliment z ust dziecka, był pochlebniejszym jeszcze.

Mistress Tippington rozmawiając, rzucała wzrokiem po salonie i po krótkim przeciągu czasu byłaby w stanie opisać wszystko co się w nim znajdowało. Zawieszone na ścianach akwarele, wykonane przez panią Donolly, wprawiły w zdumienie Letycyę, która nie miała nigdy pendzla w ręku, następnie zwróciły jej uwagę różne drobne przedmioty służące do ozdoby *dystyngowanego* salonu, co się zaś ty-

cze służących do jego wygody, co jest rzeczą całkiem odmienną, udarowała je tylko pobieżnem spojrzeniem. Zobaczyła w końcu na stole sukienkę dziecinną, z materyału zbyt ordynaryjnego, aby mogła być przeznaczoną dla córeczki Henriety. Nie rozumiejąc w jakim celu ją tam położono, zapytała:

— Do czego to będzie służyć?

— Jestto sukienka przeznaczona dla naszego stowarzyszenia *Tabita*.

— *Tabita* co to takiego?

— Jestto stowarzyszenie zajmujące się szyciem ubrania dla biednych.

— Doprawdy? Jakiż to dziwny pomysł! Dlaczego nazywa się *Tabita?*

— Na pamiątkę owej miłosiernej chrześcianki z Joppy.

— Joppa! Tabita! chrześcianka! Musi być coś o tem w biblii, ale jeźli słyszałam kiedy o niej, to zapomniałam zupełnie.

— Otóż Tabita szyła wraz z pobożnemi towarzyszkami, ubrania dla biednych. Po jej śmierci strapione wdowy posłały po apostoła Piotra, który uzdrowił właśnie niedaleko ztamtąd, w Lydzie, człowieka już dawno sparaliżowanego: Apostoł przychylił się do ich prośby, przybył do Joppy i wskrzesił Tabitę. Rozumie pani teraz czemu nasze stowarzyszenie przybrało jej imie.

— Tak, ale nie lubię tych smutnych przypomnień, śmierć, płacz, wdowy! Wszystko co nasuwa myśl o grobie jest dla mnie wstrętnem.

— Powiedz pani smutnem, bolesnem, ale wstrętnem?... Co więcej, cud wybrańca bożego przywrócił życie tej która umarła, odzyskały ją strapione wdowy, smutek zamienił się w radość.

— Musiało to być coś bardzo strasznego!.. Ale zechciej mi powiedzieć, mistress Donolly czy umiesz całą Biblię na pamięć?

— Ja? roześmiała się Henrieta, chciałabym umieć, ale nie mogę się tem pochwalić. Tylko, te kilka psalmów i rozdziałów których się nauczyłam, przychodzą mi na myśl gdy jestem sama. Jestto jakby głos z nieba!.. Życzyłabym sobie bardze, dodała po chwili milczenia, aby pani należała także do stowarzyszenia Tabita.

Mistress Tippington cofnęła się przestraszona z krzesłem, zaczęła się przyglądać swym rękawiczkom, a następnie wracając znów do tej przesady w ruchach i w głosie, która zaczynała się zmieniać w jej drugą naturę, rzekła:

— A! cóż robiłabym w gronie tak świetnych osób? Moje ręce miałyby szyć coś podobnego! dodała podnosząc sukienkę z wyrazem wstrętu.

— Zależy to zupełnie od woli pani, rzekła Henrieta z uśmiechem. Chciałabym tylko, aby pani spróbowała pracować z nami, nie zobowiązując się do niczego, co dozwoli pani opuścić nas jeźli jej się nie spodobamy. Sądzę jednak że nie będzie tak źle; do naszego stowarzyszenia, należą osoby z różnych warstw społeczeństwa: naprzykład, należące, jak my, do stanu kupieckiego, miss Hanna, córka wielebnego Keit; mistress Helena; żona doktora, miss Cochrane, właścicielka tego ogrodu i pięknego domu naprzeciwko, córki lorda Hope...

— Czy to być może! zawołała Letycya. Panny Hope, z pałacu! W takim razie nie podpada wątpliwości że jest to stowarzyszenie *dystyngowane*.

Miss Hope odznaczają się zawsze tak wykwintną elegancyą! Ostatniej niedzieli, w kościele, nie mogłam oderwać oczu od koronki zdobiącej kapelusz miss Agaty. Nie dostałby jej taniej jak po pięć szelingów metr! Znam się na tem dobrze, bo moja ciotka przepadała za koronkami, prawdziwemi, ma się rozumieć, tak umiała się urządzać, że często przybywały nowe koronki do jej komody. A druga miss Hope, co za uczesanie głowy, jaka szarfa! Nigdy jeszcze nie widziałam równie pięknych włosów! — Przy tych słowach spojrzała ukradkiem na odbijającą się w lustrze główkę uwieńczoną złocistemi splotami. — Szarfa szeroka jak... jak... ta portiera krzyżową robotą! I taka *dégagée!* Przez cały czas nabożeństwa przyglądałam się w jaki sposób ułożona kokarda: z jednej strony dwie wielkie kokardy, a z drugiej trzy mniejsze, pragnęłam doczekać jak najprędzej poniedziałku abym mogła spróbować czy mi się uda związać w ten sposób szarfę. Pani ławka jest zaraz za ławką lorda Hope, mogła więc pani przypatrzeć się lepiej tej nieporównanej szarfie i kokardzie!

— Nie zwróciłam uwagi ani na jedną ani na drugą! odpowiedziała trochę zakłopotana Henrieta. Wiem tylko tyle że miss Hope miały niebieskie kapelusze.

— Nie, mistress Donolly nie wmówisz we mnie że nie uderzyła cię w oczy koronka przy kapeluszu miss Agaty. Koronka prześliczna, szeroka na pięć palcy, i do tego prawdziwa, z pewnością prawdziwa!

— A jednak tak było, niestety!

— Na cóż się zda w takim razie mieć ławkę umieszczoną w tak arystokratycznem miejscu? zawołała Letycya z jakimś prawie pogardliwem zadziwieniem, są widać ludzie którzy mają oczy a nie widzą! Ale przebaczę pani tę dziwną obojętność, pod warunkiem, że w przyszłą niedzielę zwrócisz baczną uwagę na tę szarfę, a w poniedziałek powiesz mi w jaki sposób kokardy wysuwają się z pod przepięcia.

Mistres Donolly milczała.

— A! rozumiem teraz zawołała Letycya wybuchając śmiechem. Pani to już odgadła, i ułożyła sobie szarfę w ten sposób, ale postanowiła nie wskazać go nikomu, aby to prawdziwie arystokratyczne upięcie nie spospolitowało się przez zbytnie upowszechnienie. O! niech się pani nie rumieni. Nie ma w tem nic złego: moja ciotka trzyma się zawsze tej zasady.

— Zapewniam, że się pani myli.

— Doprawdy? A więc dlaczego pani niechce zastosować się do mej prośby?

— Droga mistress Tippington, odezwała się nieśmiało Henrieta, dlatego jedynie, że nie po to chodzimy do kościoła aby się przyglądać strojom.

Letycya zmięszała się trochę, ale po chwili odzyskała swą zwykłą pewność siebie, i rzekła z protekcyonalnym uśmiechem.

— Widzę że pani nie ma o tem najmniejszego wyobrażenia w jaki sposób zapatrują się na te rzeczy w świecie modnym, u wód, w kąpielach morskich.

— Kościół jest wszędzie kościołem, miejscem poświęconem Bogu, i bynajmniej nie przeznaczonem na wystawę strojów, odpowiedziała poważnie mistress Donolly.

— W takim razie niechże mi pani wytłomaczy czemu widzimy tam zwykle tak wyszukane toalety?

— Każdy powinien dla uczczenia świętości miejsca, wchodzić tam ubrany świeżo i przyzwoicie; ale stroić się tak aby tem zwracać na siebie uwagę, jest to wyrządzać zniewagę Bogu.

— O! nie mów pani w tak ponuro uroczysty sposób. Widzę że jestem zbyt wielką grzesznicą dla Clanmena! Słyszę tu zasady nie znane mi wcale! Co się tyczy stowarzyszenia Tabita zobaczę jeszcze. pomówię z Frankiem, i — dodała takim tonem jakby czyniła wielkie ustępstwo — uwiadomię panią o mojem postanowieniu. Kiedy będzie zebranie stowarzyszenia?

— W przyszłą środę.

— Dobrze. Może przyjdę. Czy i panowie są przypuszczeni?

— Nie. Cóżby tam robili? Mamy zawsze tyle do szycia i krajania, że nie możemy już myśleć o czem innem.

— Tak, mężczyźni bywają dla nas niekiedy prawdziwą zawadą, westchnęła Letycya, tylko że przekonywamy się o tem dopiero gdy pójdziemy za mąż!

— Wolno jedynie wejść naszym dwóm pastorom: panu Scott i panu Falconer, gdyż ci czytają nam głośno gdy szyjemy.

— Pan Falconer! pan Scott! Są obydwaj dość dystyngowani. Scott ma piękne czoło, a Falconer postawę gentlemana. Wie pani? cieszy mnie to bardzo że Frank należy do kościoła Anglikańskiego, a nie do Presbyteryanów. To w daleko lepszym tonie, duchowni anglikańscy mają w sobie bez porównania więcej elegancyi, a kościół anglikański może być uważanym za wzór dystynkcyi. Czy pani podziela moje zdanie?

— Do jakiego kościoła należeli pani rodzice? zapytała Henrieta, chcąc tym sposobem uwolnić się od odpowiedzi na pytanie Letycyi.

— Moi rodzice? ma się rozumieć że do anglikańskiego... Chociaż co się tyczy mej matki. . nie mogę tego powiedzieć z pewnością, ponieważ miałam dwa lata gdy umarła, ojciec zaś... ojciec nie uczęszcza do żadnego kościoła. Wiadomo pani dodała z uśmiechem, że tak czynią prawie wszyscy mężczyźni, jestto złe bezwątpienia, ale nie ma rady, trzeba poprzestać na takich jakimi są.

— Jakże to bolesne dla pani, szepnęła Henrieta spoglądając ze łzami w oczach na tę biedną istotę która nie przypominała sobie wcale matki, a w owym ojcu wiedziała tylko tyle, że nie bywał *w żadnym* kościele.

Letycya spojrzała na nią z zadziwieniem.

— Ciotka moja wybiera znów zwsze najarystokratyczniejszy kościół w miejscu swego pobytu. Skoro tylko gdzie przybędzie najmuje natychmiast miejsce w modnej świątyni, abonuje książki w czytelni najlepiej zaopatrzonej w świeże powieści i romanse, najmuje mieszkanie w części miasta zajmowanej przez osoby należące do wyższego towarzystwa, i nie zważa na koszta byle dojść do tego celu. Zapewniała mnie, że użyte na to pieniądze opłacały jej się sowicie. Już to trzeba wiedzieć, że moja ciotka zna się na wszystkiem! Nie byłaby zdolną do nędznej oszczędności, tak często spotykanej u osób bogatszych od niej. Nie chciałaby za nic mieszkać gdzieś na uboczu, dla zaoszczędzenia kilku szelingów.

— Więc pani przebywała naprzemian u niej i u ojca?

— Tak, wyjąwszy gdy byłam jeszcze na pensyi, na *naj-dys-tyn-go-wań-szej* pensyi w Belfast. Skończyłam ją na sześć miesięcy przed... przed spotkaniem się z Frankiem.

Głos Letycyi gdy mówiła te słowa przybrał znów jakiś dźwięk pieszczotliwy, a oczy jej zabłysły znów tym wyrazem, który już raz wzruszył i usposobił korzystnie dla niej Henrietę.

— Czy pani była zadowoloną ze swej pensyi, i ze swej przełożonej?

— Z przełożonej? O bynajmniej. Pedantka, krzak cierniowy, usobiona złość i zrzędność — jak one wszystkie, co prawda, — ale pomimo to *nec plus ultra* dystynkcyi! Jej zakład śmiało można nazwać śmietanką *dobrego tonu!* Miałyśmy profesora tańca

i ruchów salonowych, uczył nas wchodzić do salonu, wychodzić z niego, kłaniać się głową idąc, nawet oddawać te głębokie ukłony dworskie, tak piękne i arystokratyczne, a prócz tego wszystkich tańców nowoczesnych. Nasz profesor języka francuzkiego, śliczny mężczyzna, jakie miał oczy... oczy! — uczył nas swej rodzinnej mowy. A jak zręcznie mówił komplimenta! Zrozumiałyśmy je zawsze, ale łatwo się domyślić że z tego powodu, stałyśmy się trochę wymagającymi. Język angielski w porównaniu z francuzkim, zdaje się tak ckliwym. Kompliment wypowiedziany po francuzku!.. Może pani nawet nie pojmuje co to być może, dlatego też wolę nie mówić już o tem.

— Rzeczywiście, odpowiedziała spokojnie Henrieta, nie prawiono mi nigdy komplimentów, zwłaszcza po francuzku

— Nie może więc pani mieć o tem wyobrażenia, rzekła Letycya z pewnem odcieniem wyższości. Język Francuzki jest bez porównania milszym, dźwięczniejszym więcej salonowym od angielskiego.

— Co do mnie, przekładam angielski.

— Pani rozumie po francuzku?

— O tyle że mogę czytać; ale czytam z większą przyjemnością książki angielskie.

— Tak, jestto rzeczą bez porównania łatwiejszą, nie trzeba uciekać się do słownika.

— Nie potrzebuję słownika czytając po francuzku.

— Pani nie potrzebuje!.. zawołała zdumiona Letycya.

Jeźli rozumiała bez dykcyonarza komplementa swego profesora, to potrzebowałaby koniecznie, i to obszernego gdyby przyszło jej tłomaczyć kartę chrestomacyi francuzkiej.

— Czy można porównać Racine'a z Shakespeare'm? mówiła dalej Henrieta.

Nie podpada wątpliwości że byłoby to rzeczą niepodobną dla Letycyi.

— Nie doszłyśmy jeszcze do Racine'a. gdy wyszłam z pensyi, odpowiedziała zimno, ale czytałam Belizarjusza i Telemaka. Widzę, dodała po chwili że pani była na jakiejś wyjątkowej pensyi! Ciotka wybrała dla mnie *la fleur des pois*, a nie słyszałyśmy ani słówka o dziełach Shakespeare'a, Racine'a, ani też...

Henrieta roześmiała się głośno.

— Czy pani chce wiedzieć, rzekła, gdzie była ta wyjątkowa pensya? Oto w fermie mojego ojca! Wiejski nauczyciel dawał nam lekcye rachunków i kaligrafii, matka nasza osoba wykształcona, uczyła nas wszystkiego co umiała; język francuzki i rysunki zawdzięczam kuzynce Maryi, nauczycielce córek lorda Bruce. Lady Bruce, która poważała bardzo kuzynkę Mary i moich rodziców, zezwoliła na to chętnie abym bywała w pałacu, i pobierała nauki razem z jej córkami. Takim to sposobem nauczyłam się tego co umiem.

Letycya patrzyła na Henrietę z pewnem uszanowaniem. Pobierać nauki na modnej pensyi, jest bezwątpienia w lepszym tonie, jak mieć kuzynkę nauczycielkę, choćby w domu lorda. A jednak...

— Zostałabym chętnie nauczycielką u jakiegoś lorda, aby żyć wśród wielkiego świata, zawołała: Mój brat utrzymywał że jeźli nie pójdę prędko za mąż, to muszę się na to zdecydować. ale ciotka mówiła że jestem na to zbyt...

Letycya nie dokończyła, zalotny uśmiech przesunął się po jej ustach, a twarz pokrył żywy rumieniec.

— Zdaje mi się że odgaduję co powiedziała ciotka pani, rzekła, śmiejąc się Henrieta. Czy nie mówiła czasem po francuzku, i nie wyraziła się: *trop jolie*.

Letycya ucieszona, wstała aby się pożegnać.

Uczynię wszystko co będzie w mej mocy, aby w środę poświęcić kilka chwil stowarzyszeniu Tabita.

— Miło nam będzie zobaczyć panią w naszem gronie, odpowiedziała Henrieta spokojnie, jakby nie uważała tego za tak wielką łaskę.

Dwa głośne pocałunki na rumianej twarzyczce dziewczynki, pretensyonalne pożegnanie z mistress Donolly i Letycya zniknęła za drzwiami. Henrieta stojąc na progu ścigała ją wzrokiem.

— Biedna kobieta rzekła z westchnieniem; czy też będzie szczęśliwą? Czy dojdzie do rozsądku? Co w niej zwycięży, złe czy dobre?

Potem dodała biorąc córeczkę na ręce, i okrywając ją pocałunkami:

— Nie, ukochana dziecino moja, zawołała, nie oddam cię nigdy na modną pensyę. Nigdy! nigdy!

— Minia też nie chce, odpowiedziała dziewczynka.

## V.

## Nieznajomy z wędką.

Śpiew rozlegał się wszędzie w tym pogodnym dniu majowym: w powietrzu, w gniazdach, w sercu Letycyi. Wiosna obsypuje nas co rok swemi cudownemi dary, a oczy i serce człewieka co rok je przyjmują z jednakowem zachwyceniem. Zawsze takiż sam przejrzysty błękit nad naszemi głowami, ta sama świeża zieloność na łąkach i w lasach: zawsze, zawsze tak samo! a jednak zdaje nam się że nowe cuda spełniają się przed naszemi oczyma. Jest też to cud przebudzenia się tej natury, który pokrywała kwieciem ziemię zanim pierwszy uśmiech ukazał się na naszych ustach, i która kiedyś, gdy wydamy ostatnie westchnienie, pokryje nasze mogiły zieloną trawą i kwiatami.

— Jakże to piękne! zawołała Letycya wchodząc do jodłowego lasu. Gdyby to Frank był tu razem ze mną!..

Ale zamiast iść przez park umówioną drogą, aby to życzenie jej zostało spełnionem, umyśliła że może pójść pierwej w przeciwną stronę, i poszła ścieżką wijącą się nad brzegiem przejrzystego strumyka, który drugim brzegiem dotykał łąki przetykanej pierwiosnkami. Jakaż byłaby to rozkosz przejść na drugą stronę, zerwać bukiet i przynieść go do domu! Tak, ale jak to wykonać?

Idąc ciągle nad brzegiem, rozsuwając gałęzie, dostrzegła nakoniec kamienie wystające nad wodą: — Wybornie! zawołała. Most prawdziwie sielski! Postawiła śmiało prawą nogę, następnie lewą, znów prawą, a potem zabrakło kamieni! a czując że ten na którym stoi chwieje się pod nią, krzyknęła przestraszona.

Wtenczas jakiś nieznajomy, którego Letycya nie spostrzegła, siedzący nad wodą z wędką w ręku, zerwał się nagle, przewrócił stojący przy nim koszyk, zawołał: — Ostrożnie! — pobiegł ku niej i zaczął przepraszać jak się to często zdarza potrąconym.

— Przepraszam! Najmocniej przepraszam!

— Ale to ja... przeciwnie... odezwała się Letycya, patrząc na ryby wysypane z koszyka.

Nieznajomy — z pewnością prawdziwy gentleman — ukłonił się grzecznie.

— Czy mogę być pani użytecznym? Nie podobna przejść na drugą stronę? Może pani czego szuka?

Mówiąc to, podał Letycyi rękę, i wróciła szczęśliwie na brzeg.

— Dziękuje panu, rzekła. Nie szukałam niczego. Tylko te pierwiosnki... zdawało mi się... sądziłem...

— Nieznajomy nie mówiąc ani słowa przebiegł po kamieniach, potem śmiało wszedł w wodę, otrząsnął się na przeciwnym brzegu, napełnił kapelusz pierwiosnkami, jaskrem, anemonami, i zanim Letycya ochłonęła z zadziwienia, powrócił do niej ze swym łupem.

— Dziękuję! dziękuję! zawołała przejęta radością. Pan się tak trudził! Takie świeże i piękne! Jakże zdołam wyrazić...

Nieznajomy się roześmiał i podniósł z ziemi swą wędkę.

— Bardzo mi przyjemnie że mogłem oddać pani tę małą przysługę. Pani mieszka w pałacu?

— W pałacu! Nieznajomy ją bierze za jakąś lady. Za lady mieszkającą w pałacu! Czemże były wiosenne kwiaty, w porównaniu z tak pochlebną dla niej pomyłką.

— Nie, odpowiedziała tonem dozwalającym wnosić że nie byłoby w tem nic prawdopodobnego.

— Wszak lord Hope wróci jutro?

Szczęśliwy traf zdarzył, że Letycya poprzedniego dnia wieczorem, widziała wracającego już baroneta.

— Wrócił wczoraj wieczorem.

Na twarzy nieznajomego ukazał się wyraz żywego niezadowolnienia.

— Czy z pewnością? zapytał.

— Tak. Ale miss Hope nie wyjeżdżały wcale!

Letycya mówiła z taką pewnością, tak swobodnie, jakby wiedziała dokładnie o wszystkiem co się dzieje w pałacu.

— Wszak w piątek będą na balu? Zapewne i pani będzie.

— Nie wiem jeszcze.

Wiedziała jednak dokładnie że nie będzie, skoro dotąd nie słyszała że ma być bal w piątek, i nie domyślała się nawet u kogo.

— Jeźli miss ozdobi go swą obecnością, zawołał nieznajomy, czy wolno mi prosić aby mnie jej przedstawiono? Może pani zechce uszczęśliwić mnie przynajmniej jednym walcem.

Letycya ucieszona że ją brano nie tylko za lady, ale i za pannę na wydaniu, odpowiedziała przybierając pełną godności postawę: że zobaczy jeszcze że jeźli będzie mogła spełnić jego życzenie, to nie zapomni o niem.

Jakkolwiek to zdarzenie mogło być przyjemnem i zabawnem, trudno je było przedłużać. Letycya przypomniała sobie nagle że mąż na nią czeka, a co więcej pragnęła opowiedzieć mu jak najprędzej co ją spotkało. Gdyby Frank nie dowiedział się że ją wzięto za jakąś lady, że nieznajomemu gentlemanowi prawie obiecała tańczyć z nim walca, na balu o którym nie wiedziała nawet gdzie będzie, nie sprawiałoby to jej tyle przyjemności. Wszakże pomimo swego roztrzepania, kochała go szczerze.

W chwili gdy Letycya zamierzała pożegnać nieznajomego najwyszukańszym ukłonem, nowe zdarzenie zatrzymało ją na miejscu. Najprzód liście za szeleściały głośno, potem gałęzie zaczęły się poruszać a nakoniec o kilka kroków dalej, jakiś świeży głos zaczął śpiewać:

Jeźli ktoś spotkał mego rybaka z srebrzystemi rybkami, niech mi powie gdzie on się znajduje. Mój rybak zabrał mi serce, o! tak, uwikłał je w swe sie-

ci! Łódź jego posuwa się szybko, szybko jak jaskółka, gdy dąży do mnie, gdy dąży do mnie.

Ostatnią nutę zastąpił głośny wybuch śmiechu, rozsunęły się gałęzie, i miss Dianna Hope zawołała: — Otóż jestem! — i stanęła nagle na ścieżce.

— Tak, miss Dianna Hoppe, ta sama której szarfa tak zachwyciła Letycyę. Ale jakże dziś była skromnie ubrana, suknia z szarego batystu, kołnierzyk i mankiety płócienne! Letycya była tem prawie zgorszona, i gdyby nie wyzywający kapelusik z odwiniętem rondem i bażancieın piórem, nie przebaczyłaby jej tak mieszczańskiej toalety.

Gdy miss Hope spostrzegła dwie osoby stojące nad wodą zadziwienie jej wyrównało zadziwieniu mistress Tippington. Do kogo było zwrócone jej: Otóż jestem? — do ptaszków w lesie, do ryb w strumieniu, czy też do rybaka? Na to pytanie Letycya nie umiałaby odpowiedzieć. Miss Hope zasłoniła się śpiesznie woalką i odeszła.

— Miss Dianna Hope, szepnęła Letycya.

— Doprawdy? rzekł nieznajomy nie podnosząc oczu.

— Jakże jest zachwycająca! zawołała z uniesiem Letycya.

— Zachwycająca? Ha może być! Nie widziałem jej prawie.

— Pan nie widział, tak...

Zanim skończyła, nieznajomy zaczął śpiewać dźwięcznym i giętkim głosem.

Stój, stój złotoskrzydły motylu! Czy zapomniałeś o niezapominajkach błękitniejszych od letniego nieba? Czekam na cię, czekam, mój śliczny motylku! Nie omijaj w twym niestałym locie, błękitnego kobierca kwiatów pamięci.

Miss Dianna Hope, nie odwracając się stanęła. Letycya zachwycona pięknym głosem nieznajomego nie poruszyła się z miejsca. Nagle przypomniała znów sobie że mąż na nią czeka, i niecierpliwi się prawdopodobnie.

— Unoszę z sobą, zawołała cały snopek kwiatów i dźwięk dwóch nieporównanych melodyi. Wszystko to zawdzięczam panu. Dziękuję i adieu!

Nieznajomy zdjął kapelusz i ukłonił się jakby jakiejś księżniczce.

— Sądził że jestem jakąś wielką damą! powtarzarzała w myśli Letycya, oddalając się śpiesznie. Jaki zachwycający dzień! Jak się będziemy śmiać gdy opowiem wszystko Frankowi! Niestety! Czemuż przy końcu tej drogi znajdę ten sklep nieznośny? Czemu za uderzeniem rószczki nie można zmienić niektórych szczegółów, tylko kilku drobnostek! skoro w takim razie życie stałoby się rajem.

Letycya prawie biegła chcąc jak najprędzej spotkać się z Frankiem. Nie znalazła go na umówionem miejscu.

— Znudziło mu się czekać na mnie, pomyślała przyśpieszając jeszcze kroku. Trzy miesiące temu czekałby cierpliwie i trzy godziny, ale mąż!.. Jaka to szkoda że narzeczeni stają się mężami!

Każdy krok który teraz przeszła sama jedna, dowodził Letycyi że Frank Tippington postąpił ze skromnego stanowiska uległego wielbiciela, na godność jej męża, pana i samodzielnego władcy.

Zegar na wieży wybił piątą gdy wyszła na główną ulicę miasta.

— Już piąta! A Frank wymaga aby obiad podawano o czwartej! Letycya zadrżała. Spóźniła się o całe sześćdziesiąt minut! Sumienie jej rozbudzone głosem zegara, zaczęło jej czynić ostre wyrzuty: — Matka Franka, mówiło do niej, nie dopuściłaby się nigdy tego, aby dla jej przyjemności obiad miał się przegotować, a mąż czekał na nią głodny! Matka Franka wejdzie raz po raz do kuchni, i pilnuję aby potrawy były dobrze przyrządzone, i w porę na stół podane.

— Wolno matce Franka czynić co jej się podoba, odpowiedziała Letycya, choć byłoby rzeczą nader dla mnie pożądaną aby postępowała tak jak moja ciotka. W takim razie syn jej nie trzymałby sklepu, byłby prawdziwym gentlemanem, a ja prawdziwą wielką panią, jaką dziś byłam w mniemaniu nieznajomego.

Letycya zajęta temi myślami stanęła nakoniec przed progiem swego plebejuszowskiego mieszkania, i spotkała tam męża stojącego z zegarkiem w ręku.

## VI.

### Wymówki.

Twarz pana Tippington wyrażała głębokie niezadowolnienie, milczał kilka chwil wpatrując się w Letycyę jakby jej nie poznał.

— Gdzież bawiłaś tak długo? zapytał nakoniec zimno.

— A ty, Franku, czemu nie wyszedłeś naprzeciwko mnie?

— Nie wyszedłem! Kiedyż to, Letycyo nie dotrzymałem słowa? Czekałem na ciebie tam gdzie miałem czekać, ale napróżno. Czemu?

— Bo, odpowiedziała nadąsana Letycya, zatrzymano mnie.

— Kto? Gdzie? Nie u mistress Donolly, bo gdy napróżno oczekiwałem na ciebie w parku, poszedłem do nich sądząc że cię tam zastanę, i powiedziano mi że wyszłaś dwie godziny temu. Wróciłem do parku i znów napróżno! A w chwili gdy zamierzałem rozpocząć znów poszukiwania, niespokojny czy nie uległaś jakiemu wypadkowi, wracasz spokojna, uśmiechnięta, jakbyś się nie poczuwała do winy! Nie podoba mi się to Letycyo.

— Tyle hałasu o taką fraszkę. Czy to taka wielka zbrodnia spóźnić się o sześćdziesiąt minut! Żałuję że się tak stało, ale już nic na to nie poradzę. Zatrzymały mnie nieprzewidziane okoliczności.

— Jakie, gdzie? pytam się raz jeszcze.

Letycya pragnęła powiedzieć mu to jak najprędzej, ale gdy już otwierała usta, pochmurne spojrzenie męża nasunęło jej myśl że powinna być ostrożną: przechadzka nad brzegiem strumyka, rozmowa z nieznanym gentlemanem, gdy mąż czeka, niecierpliwi się i niepokoi... Nie, lepiej opowiedzieć to w stosowniejszej chwili.

— Nie przytrafiłoby się nic podobnego, rzekła przybierając nakazującą postawę, gdybyśmy zasiadali do obiadu w tej porze o której powinno się jadać. Ale o czwartej!..

Kończąc te słowa, zamknęła oczy jakby się czuła bliską zemdlenia.

— To tylko pewne, odpowiedział Frank głosem tak ostrym jak jeszcze nie przemówił do Letycyi: że dziś nie będę jadł obiadu nie tylko o czwartej, ale o piątej, a nawet o szóstej jeżli będziesz przeciągać jeszcze tę rozmowę! Może będziesz łaskawa zdjąć kapelusz i rękawiczki, i zechcesz nakoniec usiąść do obiadu. Muszę jeszcze dziś wyjść z domu.

Letycya wbiegła szybko na schody, wpadła do swego pokoju, rzuciła kapelusz, paletocik i rękawiczki, nie troszcząc się gdzie upadną, i wróciła za parę minut do jadalnego pokoju.

Katarzyna stawiała właśnie na stole jakiś przedmiot tłusty i czarny, zajmujący pośrednie miejsce między węglem a kamieniem; miała to być pieczeń barania.

— Wyborna pieczeń! mruknął Frank, wybierając dla żony najmniej spalone kawałki. Nigdy w życiu nie jadłem tak złych obiadów jak teraz gdy mam żonę.

— Nie podobna znaleźć nic dobrego w Clanmena, odpowiedziała pogardliwie Letycya.

— Doprawdy? Pomimo że Clanmena jest z tego sławne że można w nim dostać wszelkich artykułów żywności bardzo dobrych i niezbyt drogo. Zresztą mogę powiedzieć śmiało o wszystkiem to samo co o przyrządzaniu obiadów. Dość spojrzeć na moje koszule, każdej coś brakuje, i nie mam co włożyć na siebie, a muszę udać się zaraz do pałacu w interesie bardzo dla mnie korzystnym. Baronet nie należy do ludzi czekających cierpliwie, jeżli się spóźnię o kilka tylko minut, zwróci się do drugiej księgarni i kupi wszystko u Smith'a. Może domyślasz się jakie tego byłyby następstwa. Otoż, powtarzam, nie mam ani jednej koszuli w zupełnie dobrym stanie! Guziki u nich poobrywane, lub trzymają się zaledwie na jednej nitce, która pęka za dotknięciem.

— Bo też nikt w całej Irlandyi, Szkocyi i Anglii, nie urywa tak jak ty guzików.

— W takim razie tem łatwiej pamiętać o tem że je trzeba przyszywać.

— Przyszyłem dwa w przeszłym tygodniu, i tak się przy tem ukłułam w palec, że rzuciłam igłę na ziemie.

— A cóż mam powiedzieć o skarpetkach! Żaden włóczęga w Clanmena nie nosiłby nędzniejszych! Skarpetki tak dobre i mocne, zrobione przez moją matkę, nie mają teraz ani pięt ani palcy: nic, prócz dziur połączonych z sobą.

— Nie mogę robić wszystkiego razem, odezwała się Letycya płaczliwym głosem. Haftuję pantofle dla ciebie.

— Obejdę się bez pantofli, potrzebuję koszul i skarpetek.

— Ah! jakaż to niewdzięczność! zawołała Letycya zalewając się łzami.

Frank odsunął talerz i krzesło i przysunął się do niej.

— No, no, nie płacz żoneczko, zawołał prawie pokornie. Wiesz sama że mam słuszność, i że taki nieład mógłby zniecierpliwić najcierpliwszego męża. Uspokój się uspokój, Letycyo.

— Nie, nie wiem nic, odezwała się Letycya czując że zaczyna odzyskiwać przewagę, prócz tego że ci w niczem nie mogę dogodzić; że pogardzasz ślicznemi pantoflami, które kosztują mnie już tyle pracy; że...

— Ja! miałbym pogardzać niemi! przerwał Frank usiłując uchwycić ręce żony.

— Wszak to sam powiedziałeś.

— Nigdy! W każdym razie nie myślałem nic podobnego.

— O! to straszna niewdzięczność! zawołała łkając głośno.

— A więc wyznaję... zbyt się uniosłem... Nie mówmy już o tém! Pocałujmy się, przyszyj guziki do koszul, poceruj skerpetki, a wszystko będzie dobrze.

Mówiąc to zamknął pocałunkiem usta Letycyi.

*(D. c. n.)*

# Opis do N-ru 42.

## N. 1—2 i ryc. 25 w N-rze 43. Ubrania domowe lub spacerowe.

Ryc. 1 i 2 przedstawia z przodu i z tyłu dwie suknie odrobione jednakowym fasonem lecz z odmiennego materyału i z odmiennym garnirunkiem, które zarówno służyć mogą do domowego jak i do spacerowego ubrania. Do sukni ryc. 1 stanik i draperya na spódnicy, odrobione były z gładkiego kaszmiru, oszyte skośnemi aksamitnemi plisami, a plisowana spódnica i szmizetka przy staniku z materyału wełnianego w kratę. Na ryc. 25 w N-rze 43 dajemy mały model kroju i miary draperyi, na którym środek przodu i bryta tylnego oznaczone są linijką kropkowaną. Brzeg bryta przedniego z jednego boku jest cały ściśle sfałdowany i w górę podpięty, a z drugiej strony tylko część górna, złączona z draperyą tylną, jest podług znaków przyfałdowana, a dalej założona na lewy zaokrąglony bok draperyi tylnej i luźno spuszczona. Prosty brzeg draperyi tylnej z prawego boku, podpięty jest w górze w dwa pukle a od dołu luźno spuszczony; środek upięty w sposób wskazany na ryc. 2. Model do ryc. 2 odrobiony z sukienka dyagonal, oszyty był pletnią wełnianą 7 i 5 cent. szeroką.

## N. 4. Koronka szydełkowa z torsadką mignardisse.

W rzędzie pierwszym dolnym robić * 1-no o: ści. w pikot torsadki, 2 o: powietrzne, dalej w następny pikot 1 o: ści, 5 o: pow., 2 słupki przedzielone w górze 5 o: pow., 1 o: ścis. w ten sam pikot, dalej 2 o: powietrzne i powtarzać od gwiazdki. W drugim rzędzie robić ciągle 3 o: ścisłe w pierwszy ząbek, 7 o: scisłych, w ząbek drugi, 3 o: ścis. w ząbek trzeci. Na brzeg gorny w pierwszym rzędzie ciągle spajać dwa pikoty 1 o: ścis. potem 8 o: powietrznych; drugi rząd obrobić drabinką ze słupków.

## N. 3 i 5. Sakiewka robiona z perełek.

Model sakiewki robiony był z perełek niebieskich, białych, szklanych i złotych, sposobem wskazanym na próbce ryc. 3, o $^1/_3$ część powiększonej. Do nawłóczenia perełek używa się mocnych nici szwajcarskich, bo jedwab jest za słaby. Sakiewkę robi się w ażurową kratę złożoną z rzędów ząbków spiczastych, na każden ząbek nawłóczy się 5 perełek szklanych, 1 złotą i znów 5 szklanych; rzędy następne łączą się z poprzedzającymi przewłócząc nitkę przez perełkę złotą. Końce sakiewki są z niebieskich ze złotemi a środek białych i złotych perełek; robotę zaczyna się od końca na 24 ząbków szerokości, a obrabia się w koło 29 rzędów; środek biały składa się z 18 rzędów robionych tam i napowrót. Na końcu rzędów idących w koło, przewłóczy się nitkę w górę przez końcowy ząbek aż do perełki złotej, i zaczyna się rząd następny. W rzędach środkowych idących tam i napowrót, po ząbku środkowym nawłóczy się 8—10 perełek, ażeby prosty brzeg otrzymać. Po zrobieniu 13 kratek niebieskich, zaczyna się w zęby wpuszczoną część białą środkową, której pierwszy w górę obrócony ząbek przedzielony jest jedną połówką dwoma całemi i jeszcze połówką ząbka niebieskiego; drugi rząd przedziela jeden ząbek i dwie połówki, trzeci dwie połówki, rząd 4-ty stanowią już ząbki białe. Na zakończenie sakiewki nabiera się złote perełki na czubkach zębów, ściąga ściśle i przyszywa się grelotkę złotą. Złocone, ażurowe obrączki służą do zasuwania.

## N. 6. Flasza zrobiona z tykwy wydrążonej, pozłoconej i ozdobionej malowaniem, albo naklejonemi bukiecikami wyciętemi z kretonu lub z malowanych na papierze obrazków. Do zawieszenia służy wstążka kolorowa.

## N. 7—8. Woreczek Pompadour. Ozdobiony naszytą koronką.

Środek woreczka mającego 27 cent. wysokości a 23 szerokości, stanowił pas gładki pluszowy, a boki atłas bufowany takiego jak plusz koloru. Na pluszu naszyta była 8 cent. szeroka, biała koronka bobbinet, ozdobiona haftem kolorowym, której próbkę dajemy na ryc. 8. Naprzemian jeden bukiet deseniu pozostawia się nie pokryty, a drugi pokrywa haft robiony jedwabiem albo pelą różnokolorową, ściegiem płaskim. Cztery liście kwiatu haftowane były ciągle kolorem bronzowym, a kielichy naprzemian kolorem pawiowem i różowym, miedzianym i kamiennym, bordo i piaskowym, lub wodno-zielonym i blado-niebieskim; małe kwiatki haftowane były naprzemian wszystkiemi kolorami ze środkami złotego koloru, a liście i gałązki kolorem trawno-zielonym. Kontury deseniu i pikoty robione nitką złotą przyszywaną cienkim jedwabiem złotego koloru. Bufy boczne miały 8 cent. szerokości, a podwójna falbanka nad listewką do ściągania 4 cent., wstążka atłasowa 3 cent. szerokosci.

## N. 14 i ryc. 17 i 31 w N-rze 43. Ubranie spacerowe, z krótkiem okryciem jesiennem.

Model kroju i miary dogodnego krótkiego okrycia dajemy na ryc. 31 w N. 43. Bluzkowe szerokie przody przykrojone podług modelu *a*, przymarszcza się przy wykroju szyi, a luźne plecy podług *b*. Długą i szeroką pelerynę przykroić podług modelu podanego w połowie na literze *c* i zaszyć z tyłu w sześć fałd schodzących się do środka przepasanych na wcięciu w stanie paskiem, któren przeprowadzony na spód opasuje zarazem przody. Model okrycia odrobiony był z bronzowego „cheviotu“ a pasek i kołnierz z ciemno bronzowego aksamitu; suknia z dyagonalu w takim samym kolorze, miała spódnicę ułożoną w koło w podwójne 23 cent. szerokie kontrafałdy, a u dołu zaszytą w 8 zakładek zajmujących 12 cent. wysokości. Suto sfałdowaną fartuszkową tunikę, dopełniała z tyłu draperya upięta z dwóch brytów 80 cent. szerokich a 115 długich.

## N. 15. Sukienka bluzkowa dla małej dziewczynki.

Sukienkę zrobić można na gładkiej, podszewce albo bez podszewki; spódniczkę kraje się razem ze stanikiem; przy wykroju szyi i poniżej wcięcia w pasie przemarszcza się sukienkę kilka razy, na 4 c. szerokości. Dół spódniczki przecina się w patki 8 cent. szerokie a 10 długie, które podszywa się atłasem i wywija na ranwers przypięty guziczkiem, pod patkami dodaje się od spodu plisowanie. Szerokie rękawki przymarszcza się w górze i u dołu i wszywa w pasek. Szeroki haftowany i przemarszczony kołnierz związany na sznury z kwastami. Duże rondo filcowego kapelusza w $^2/_3$ częściach podszyte przemarszczanym atłasem.

## N. 16. Ubranie podróżne lub spacerowe z vêtement.

Spódnica jest w koło w szerokie fałdy splisowana; vêtement przykrojone podług formy princesse, wysoko z boków podpięte, z przodu rozchodzi się szeroko do dołu, z tyłu spada w sutą draperyę, na którą przy krajaniu pleców dodaje się poniżej wcięcia w pasie dużo materyału, złożonego do spodu w kontrafałdy. Model ubrania przeznaczony do podróży, odrobiony był z gładkiego dyagonalu bronzowego, i z materyału w paski bronzowe i piaskowe. Kapelusz filcowy opasany długim welonem gazowym; rękawiczki długie szwedzkie.



N. 1—2. Ubranie domowe lub spacerowe. Patrz ryc. 25 w N-rze 43.

## N. 17 i ryc. 7 w N-rze 43. Paletocik wcinany do figury.

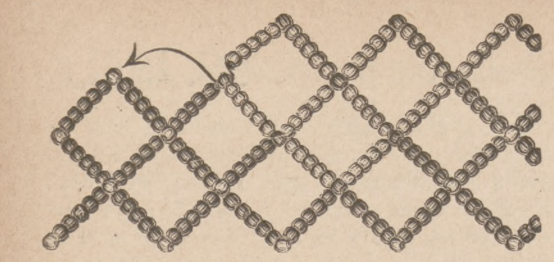
Ryc. 17 przedstawia z tyłu paletocik do figury, odrobiony z sukna a ubrany aksamitem, któren kraje się podług dobrej formy stanika a na ryc. 7 w N-rze 43 dajemy takiż paletocik aksamitny, obłożony barankami krymskiemi. Plecy paletocika kraje się w całej długości a pod krótsze, w zęby wycięte boczki i przody, podszywa się od spodu obłożenie 19 cent. szerokie. Zęby z jednej strony prosto, z drugiej kolisto ścięte, mają 11 cent. długości a 6 górnej szerokości; brzegi oszyte pletnią jedwabną lub wełnianą. Mankiety mają 12 cent. a kołnierz stojący 5 c. szerokości. Spódnica do ryc. 7 w N-rze 43 cała pokryta wolantami 12 cent szerokiemi, jeden na drugi zachodzącemi, u dołu w parę wązkich zakładek zaszytemi

## N. 18. Stanik z przemarszczaną szmizetką.

Do staników z wełnianego albo jedwabnego materyału, z ranwersami z aksamitu w takim samym kolorze bardzo modne jest ubranie szmizetkowe, przemarszczane, dodane z materyi mienionej, którą ubiera się także rękawy. Od dość dawna zarzucone materye jedwabne i cienkie wełniane wyroby, mieniące się w kilka kolorów, obecnie są znów bardzo modne.

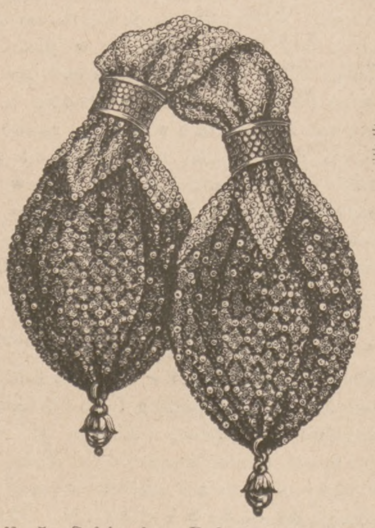
## N. 19, 20 i 25 oraz 26 i 30 w N-rze 43. Dywanik na stół albo na ścianę. Haft smyrneński.

Tak deseń jak rodzaj haftu i dobór kolorów, naśladuje dawne wschodnie dywany, a przy stosunkowo dość łatwej i pośpiesznej robocie, stanowi powabną całość. Na tło bierze się plusz „Barret“ w kolorze ponsowym, niebieskim oliwkowym lub t. p. w odcieniu bladawym jakby zamglonym, któren stosowny jest do bladawych kolorów haftu. Na modelu tło środkowe było z plusza ciemno-pawiego a brzegi z pluszu w kolorze maurytańskim czerwonym



N. 3. Wykonanie siatki z perełek do ryc. 5.

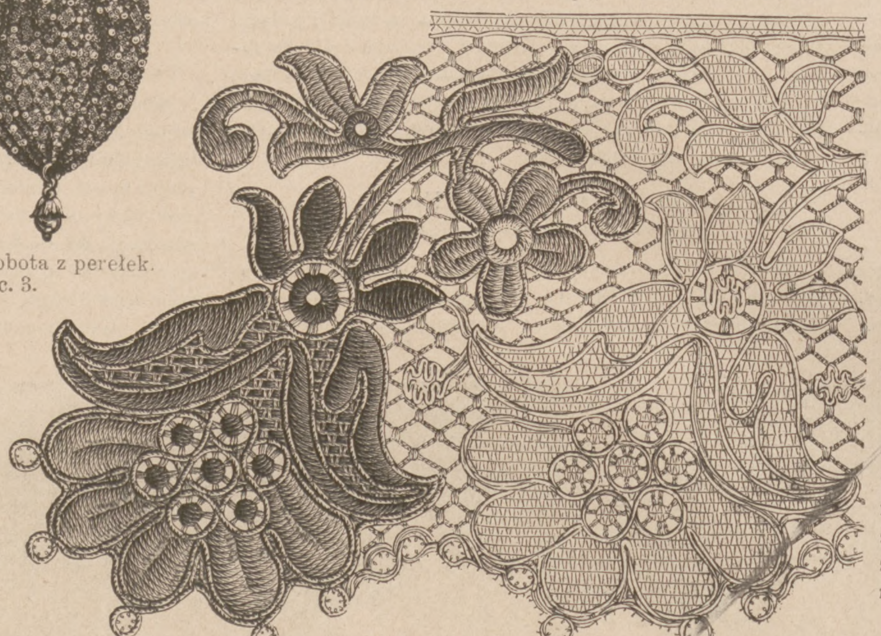
Do haftu użyte były włóczki „crevel“ i zefirowe w dwóch cieniach, w kolorze czerwonym maurytańskim, żółtawo-orzechowym, pawiem i oliwkowym i filozela maisowa. Podział kolorów i dobór cieni wymaga obeznania i wprawy, najlepszą wskazówką mogą być dawne roboty tego rodzaju lub podług nich zaczęte roboty, albo dobre malowane desenie. Na ryc. 19—20 i na r. 26 i 30 w N-rze 43 dajemy w naturalnej wielkości części deseniu z dokładnie oznaczonemi rodzajami ściegów. Model dywanika miał 161 c. długości a 117 szerokości, podszewka była z kaszmiru, a brzegi oszyte grubym sznurem skręconym z włóczek w kolorach haftu.



N. 5. Sakiewka. Robota z perełek. Patrz ryc. 3.



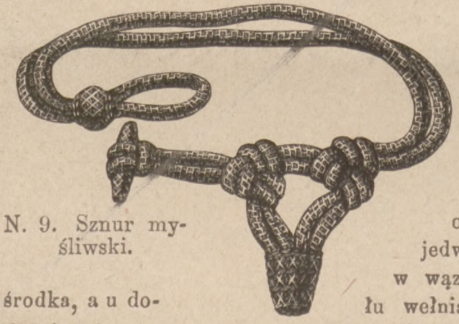
N. 7. Woreczek pompadour z koronką „bobbinet.“ Patrz r. 8.



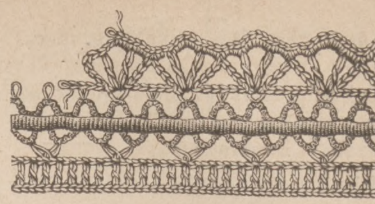
N. 8. Koronka „bobbinet“ z wyszyciem kolorowem, do ryc. 7.

## N. 23—24. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki lat 6—8.

Ryc. 23 przedstawia długą bluzkę i spódniczkę z piaskowego kaszmiru, na ryc. 24 dajemy z przodu ubranie, w którem bluzka była z blado-niebieskiego kaszmiru, a spódniczka plisowana z materyału w kratę różnokolorową. Zwierzchni materyał bluzki z każdej strony przodu, przy zapięciu na guziki zaszyty jest w cztery 1 c. szerokie fałdy, które na pleckach schodzą się do środka, a u dołu 4 cent. szeroko przemarszczone, zakończone są bufą 10 centym. szeroką, w koło na spódniczkę spuszczoną. Przy fałdach z tyłu i z przodu przecięte są i odziergane otwory, przez które przewłóczy się wstążkę z boku związaną na kokardę. Spódniczka plisowana szyrtyngiem podszyta, ma 30 cent. długości.



N. 9. Sznur myśliwski.



N. 4. Ząbki szydełkowe z mignardisse.

# Opis do N. 43.

## N. 1. Kapotka aksamitna.

Główka kapotki pokryta jest fałdowanym czarnym aksamitem; z brzegu przedniego ku twarzy dane zakończenie ze skosu złożonego podwójnie w środku 8 c. szerokiego i zebranego w pięć kontrafałd z boków 3 cent. szerokiego i spuszczonego gładko. Z tyłu u dołu foremki dane opasanie ze skosu 3 c. szerokiego, z pod którego wysuwają się końce z aksamitki 7 cent, szerokiej, z atłasowym spodem złotawo-żółtym. Pióro tak zwane pleureuses zakończone nitką, zdobną złotemi perełkami. Kontrafałdy nad czołem podpięte kokardą ze złotawej aksamitki, na ryc. 2 widzimy też samą kapotkę przedstawioną z boku.



N. 6. Flasza z tykwy ozdobiona malowaniem.

## N. 2. Okrycie z szala indyjskiego.

Ryc. 2 przedstawia okrycie dające się upiąć z szala indyjskiego lub z chustki tureckiej. Zapięcie dane jest nie z przodu lecz na ramieniu, na ozdobne szpilki z łańcuszkiem lub na klamerkę metalową; na drugiem zaś ramieniu trzeba zaszyć głęboką fałdę, ażeby szal nie odstawał pod szyją. Upięcie tylne wskazuje ryc. 2.

## N. 3—5. Suknia z hiszpańskim kaftanikiem i chusteczka szydełkowa.

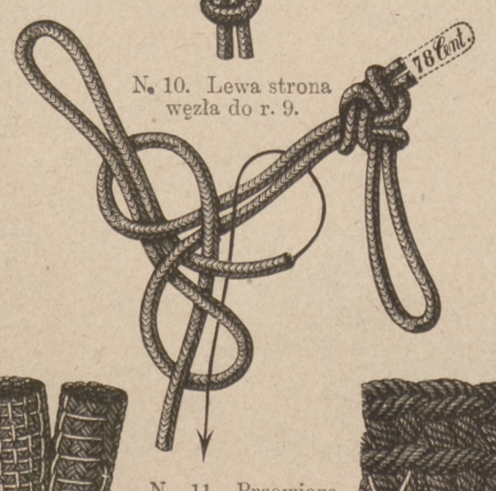
Kaftanik hiszpański, właściwy jest tylko dla osób szczupłych i niezbyt nizkich. Suknia, jaką widzimy na r. 3, odrobiona jest z materyi jedwabnej, srebrno-popielatej, w wąziutkie paski i z materyału wełnianego w kratkę. Stanik i kaftanik szyją się razem, tylko w tym ostatnim dla uniknięcia szwów krają się jedne boczki. Brzeg przedni zaokrąglony i skośny sfałdowany jest podług ryc. 3, ażeby się przez to nie ciągnął, trzeba przy krajaniu naddać materyału na 45 cent. Tunika z boku zebrana w fałdy podpięte



N. 14. Ubranie jesienne z krótkim płaszczykiem.



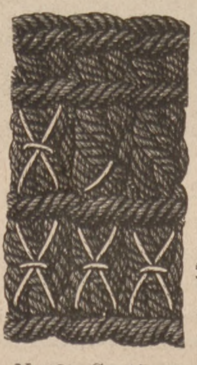
N. 10. Lewa strona węzła do r. 9.




N. 11. Przewiązanie węzła do r. 9.



N. 12. Założenie baryłeczki do ryc. 9.



N. 13. Część zakończenia bocznego do ryc. 9.



N. 15. Sukienka bluzkowa dla małej dziewczynki. N. 16. Suknia z vêtement.

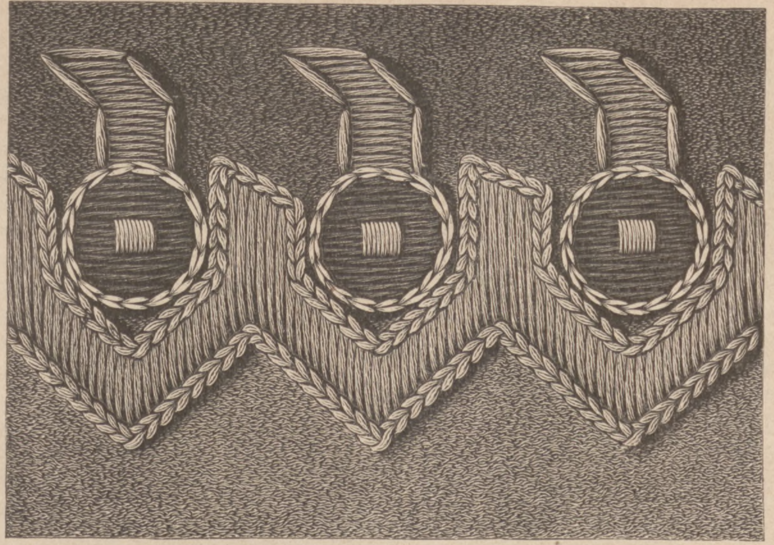
rozetą aksamitną; takaż aksamitka 2 cent. szeroka, zdobi brzegi stanika i tuniki. Chusteczka szydełkowa odrobiona z jedwabnej włóczki, zakończona koronką 10 cent. szeroką, zaczyna się od środka i robi w kwadrat podług. ryc. 5.

N. 6 i 32. Ubranie spacerowe z półwciętym kaftanikiem.



N. 17. Paletocik wcinany. Patrz ryc. 7 w N-rze 43.

Ryc. 6 i 32 przedstawiają przód i plecy sukni dopełnionej kaftanikiem bez rękawów; do spódnicy z materyału pledowego w pasy, zaplisowanej w fałdy, stanik i kaftanik uszyty z gładkiego sukienka, zaś na ryc. 6 widzimy suknię z dyagonalu piaskowego, jasnego i ciemnego. Stanik można krajać z krótszą lub dłuższą baskiną albo z bawetem. Kaftanik bez rękawów z tyłu wcięty do figury, z przodu bez zaszewek naszyty jest pletnią wełnianą dwojakiej szerokości; kołnierz, mankiety i szarfa aksamitna.



N. 19. Szlak ściegiem smyrneńskim. Patrz ryc. 20 i 25.

N. 11. Sukienka fałdowana dla dziewczynki lat 3—5.

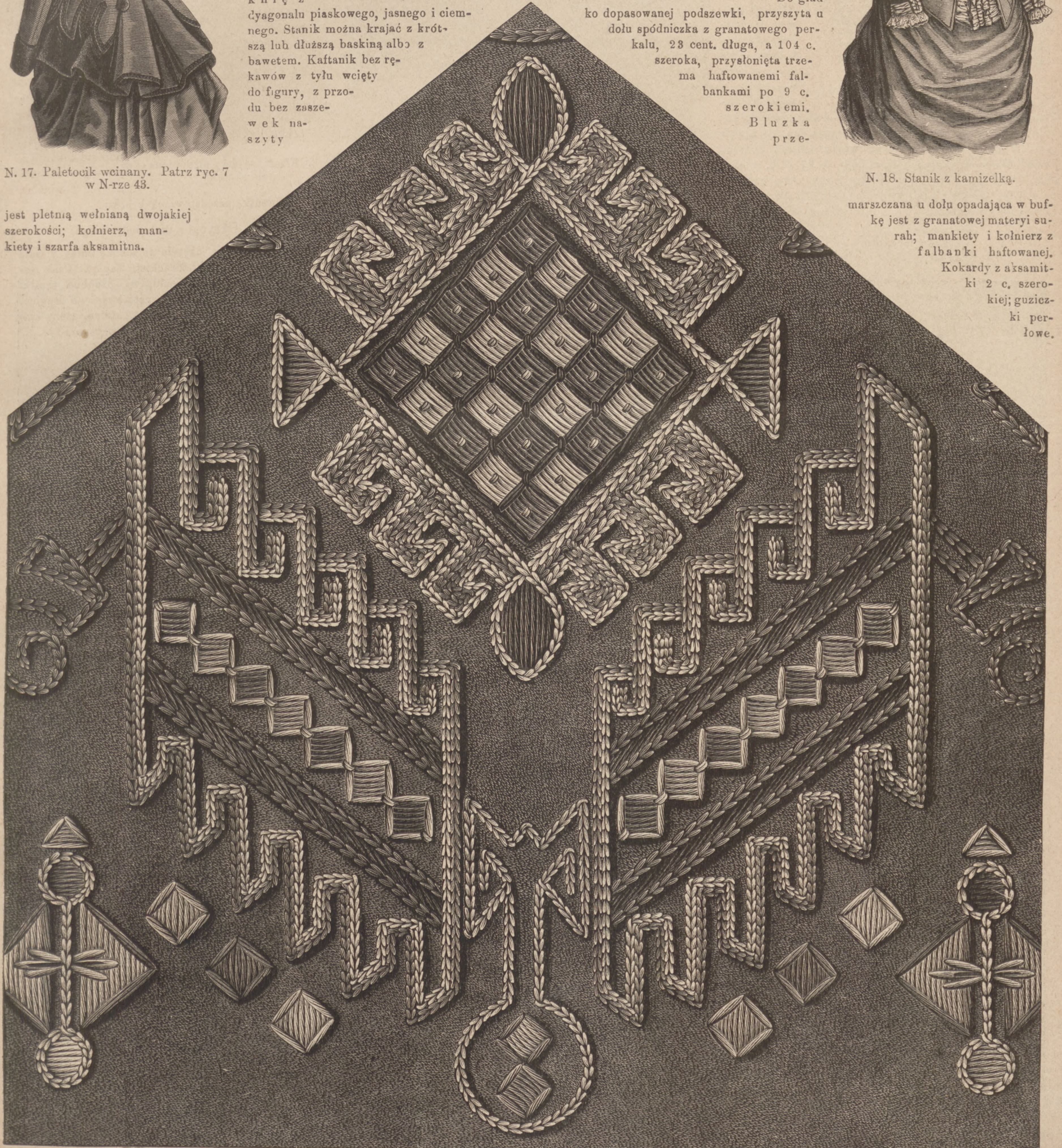
Głęboki wykrój szyi dopełniony jest marszczoną szmizetką muślinową, rękawki długie muślinowe. Przód i plecy złożone w kontrafałdy po 4 cent. szerokie; spódniczka 20 cent. długa, złożona w szersze kontrafałdy ozdobiona szerokim szlakiem gipiurowym; takiż węższy szlak u góry przy wykroju.



N. 18. Stanik z kamizelką.

N. 12. Sukieneczka bluzkowa.

Do gładko dopasowanej podszewki, przyszyta u dołu spódniczka z granatowego perkalu, 23 cent. długa, a 104 c. szeroka, przysłonięta trzema haftowanemi falbankami po 9 c. szerokiemi. Bluzka przemarszczana u dołu opadająca w bufkę jest z granatowej materyi surah; mankiety i kołnierz z falbanki haftowanej. Kokardy z aksamitki 2 c. szerokiej; guziczki perłowe.



N. 20. Część deseniu na ścieg smyrneński do r. 25.

## N. 13, 22 i 24. Suknia naszyta pletnią.

Skromne i łatwe odrobienie nie wymaga szczegółowego opisu tym więcej że na ryc. 24 dajemy wskazanie kroju i wymiar tuniki. Pletnia zdobiąca to ubranie jest 3 c. szeroka.



N. 21. Czepeczek z szeroką kokardą.

## N. 14—15. Suknia z kamizelką.

Stanik może być z tego materyału co suknia lub z materyału w kratkę, kamizelka zaś daje się z piki, materyi, aksamitu lub sukna. Przody stanika zapięte na jeden guzik, rozchodzą się szeroko do dołu i ścięte są w zęby bawełnawe, plecy mają karoczko podpięte w bufę. Kołnierz z ranwersami i mankiety aksamitne. Falbany zdobiące spódnicę są zakończone aksamitką 3 cent. szeroką, jak to przedstawia ryc. 15 zaś na ryc. 14 naszyte są po trzy razy wązką ciemną pletnią. Tunika składa się z dwóch kawałków po 47 cent. szerokich, 70 długich, upiętych z boków w zęby, suto bufowane u dołu; tylny bryt upięty podług ryc. 15 liczy 77 c. długości a 68 szerokosci.



N. 23—24. Sukienka dla dziewczynki lat 6—8.

## N. 16 i 33. Płaszczyk jesienny z pelerynką.

Ryc. 16 i 33 przedstawiają przód i plecy praktycznego płaszczyka z granatowego sukienka, którego skromne przyozdobienie stanowią rzędy stębnówki, kołnierzyk aksamitny stojący 3 cent. szeroki, klamra metalowa i odpowiednie do niej guziki. Krój takiego płaszczyka znajdą czytelniczki w dawniejszych tegorocznych numerach; peleryna zaokrąglona z przodu, z odstającemi namarszczonemi szwami na ramionach zapięta jest klamrą metalową. Fałdy w plecach płaszczyka są od spodu podszyte taśmą.

(*D. n.*)



N. 22. Czepeczek aksamitny z rozetą.



N. 25. Dywanik ściegiem smyrneńskim. Patrz r. 19—20, tudzież r. 26 i 30 w N-rze 43.



*Pl. 553.*

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.